MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 24 WARSZAWA, 9 CZERWCA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

POZNAŃ — WILNO

WYSTAWA polska w Poznaniu ma swoją poezję. Na otwarcie jej muzyk Feliks Nowowiejski skomponował hejnał triumfalny do słów Emila Zegadłowicza:

—„Wołamy—wołamy — wołamy — Hejnały grają jak grom!
Naściеżaj otwarte bramy — otwarte serce i dom!"

Tak woła Poznań. A Wilno odezwało się głosem miejscowego poety Klemensa Wójcika-Oracza („Dziennik Wileński"):

„Słyszymy, słyszymy, słyszymy,
Bo Hejnał wasz jako dzwon,
Przenika kraj nasz rodzimy
Aż hen, do najdalszych stron.

Słyszymy, słyszymy, słyszymy,
Bo Hejnał wasz jako dzwon!

Zasobność dzielnicy Piastowej,
Ofiarność wielka wśród was,
Dzień olśnią Przyszłości nowej,
Co idzie w otęczy kras.

A my, straż przednia, na Wschodzie,
Miecz dzierżym i znojny pług,
By rosła siła w Narodzie,
By w Polsce królował Bóg!"

Jest w tem poezja, jest jednak i dramat. Bo oto gdy hejnał poznański dzwoni triumf zasobności, jednocześnie Wileńszczyźnie zajrzało w oczy widmo głodu. Smutne bywają w Polsce echa hejnałów, pomimo że brzmi w nich nuta wiary, nadziei i miłości. Niedociągnięte i nie zestrojone jeszcze struny instrumentu polskiego, na którym grają dzieje.

Wileńszczyzna jest dzielnicą polską, która późno złączyła się z dziedzictwem Kazimierza Wielkiego, dla tego jeszcze nie zatarły się odrębności językowe pewnych okolic. Polska ta ziemia, która chce być tak integralnie zcalona z resztą kraju, jak przedtem złączone Mazowsze, domaga się szczególnie pieczołowitej opieki i państwa i społeczeństwa polskiego. Długotrwały stosunek federacyjny wskutek specjalnych warunków historycznych, a potem oderwanie od polskich centrów tej części, jako kraju dla Rosji „północno-zachodniego", odrębnie przez Rosję administrowanego— zahamowały ów proces zrostu naturalnego. Obcowaliśmy raczej duchem (przez Mickiewicza), niż materjalnym krwi obiegiem. Nowego państwa polskiego pierwszem zadaniem było w przyśpieszonem tempie nadrobić to, co przemoc opóźniła. Tę prostą logikę rzeczy — niestety — zmąciła doktryna, płynąca nie z instynktów dziejowych narodu polskiego. Roboty Piastów, przekazanej Jagiellonom, nie umiemy dokończyć.

Niewątpliwie powierzona naszemu pokoleniu Polska subjektywnie ma poczucie, że przecież jakąś energję myślową w interesie Wilna wydatkowała. Pokolenie to jednak nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że wszystko, co dotąd w tym kierunku się robiło, było robotą dla symbolu, nie dla rzeczy, robotą kiepską, literacką w duchu spóźnionego, chorego romantyzmu. Nie była to robota piastowska. To też, gdy teraz w r. 1929 staje w Gnieźnie, z żywej tradycji dobyty, pomnik Bolesława Chrobrego, gdy Poznań dokumentuje nowe dzieje w duchu tych tradycyj, w Wileńszczyźnie w makabrycznych warunkach głodu wznosimy pomnik Chimery na znak pogardy dla bytu realnego.

Ziemia i człowiek wiejski — oto bogactwa realne Wileńszczyzny. Przyrodzone warunki nie są tutaj wiele gorsze od wielkopolskich. Tak samo kraj rolniczy

z dodatkiem lasów. Ludność zaniedbana w kulturze, zaledwie nią dotknięta przed wiekiem przy pomocy szkół Komisji Edukacyjnej, nie zdołała wytworzyć jeszcze gwary ogólno polskiej, kiedy oto wolna Polska przyszła do niej z propozycją założenia podwalin pod nową budowę państwową jakiegoś narodu Białoruskiego, którego nie było i niema. Chodzi nam o symbol nowego porządku na świecie w duchu liberalnym— o tworzenie nowych jednostek na tle etnicznym. Dla kogoś może, kto te teorje podszeptuje, ma to jakiś cel praktyczny, a dla spóźnionego romantyzmu polskiego — to jest „ładne". I to wystarcza. Ciąży nad nami fatalistycznie romantyzm niemiecki. Pół biedy było z literackim przed stu laty, gorzej z politycznym.

Ludność kresowa zrazu rzuciła się do szkół polskich. Ale symbolizm romantyczny dzisiejszy powstrzymał ten pęd naturalny. Zamiast rzeczy polskiej miano na myśli jakąś misję światową, a teoretykami „naukowymi" tego romantyzmu były najtępsze głowy socjalistyczne.

W świeżo wydanej broszurze „Szkolnictwo dla mniejszości narodowych w Polsce" (Warsz. 1929) poseł Jan Kornecki informuje, że w r. 1928 mieliśmy w Polsce 72 szkoły powszechne białoruskie:

„Jak wiadomo, ustawa z r. 1924 daje prawo rodzicom dzieci wyboru języka wykładowego szkoły. Znaczna część ludności białoruskiej jest religji rzymsko-katolickiej i modli się po polsku, nic też dziwnego, że wybiera szkołę polską. W ogólności uświadomienie narodowe tej ludności jest bardzo słabe: część jej ciągnie ku Rosji, część ku Polsce, a tylko nieliczne jednostki pod wpływem agitacji, wrogiej Polsce niestety, deklaruje swą odrębną narodowość białoruską. Rezultatem tego procesu uświadamiającego jest powstanie na razie wspomnianych 72 szkół.

Władze polskie, jak z tego wynika, liczą się z ruchem białoruskim; zakładają szkoły z językiem wykładowym białoruskim, mimo iż dotychczas brak dla tych szkół nawet podręczników, gdyż literatura białoruska jest zaledwie w początkowem stadjum rozwoju. Dbają również władze polskie o przygotowanie nauczycieli dla szkół białoruskich, gdyż odbyło się już 3 kursy dla nich, a to: w roku szkolnym 1921/2 kurs w Krakowie dla 250 nauczycieli, w r. 1925/6 w Wilnie dla 100 nauczycieli, w r. 1927/8 w Krakowie dla 40 nauczycieli, a obecnie tworzy się kurs nowy. Gimnazja prywatne białoruskie w Nowogródku i Wilnie cieszą się dużem poparciem materjalnem władz polskich, mimo iż atmosfera wychowawcza w tych szkołach nie zawsze odpowiada interesom państwa polskiego".

Wzięliśmy na siebie misję cywilizacji na kresach, ale cywilizacji p o l s k i e j. Pierwszym naszym obowiązkiem myśleć o tem, jak do tej misji wprzęgnąć miejscową ludność. Białoruskiej cywilizacji niema, wydarliśmy ludność cywilizacji rosyjskiej, która za kordonem czyha na nią i do nas przenika. Jest ta ludność niczyja — może być tylko polska, albo rosyjska. Myśmy wymyślili coś trzeciego. Za kordonem Sowiety w Mińszczyźnie, czyniąc eksperymenty, aby znaleźć sposób oddziaływania na naszą ludność, popierają też białoruszczyznę i oto, jak prasa teraz właśnie donosiła — Sowiety robią wymówki zarządowi miejscowemu, że w założonej w Mińszczyźnie prasie ż a d e n organ nie drukuje artykułów po białorusku, a wszystkie używają języka r o s y j s k i e g o. My u siebie wydajemy po białorusku (bez języka polskiego) coś 12 czasopism — wszystkie w Wilnie, jakby nie było nic lepszego do roboty. Z największego bogactwa, jakiem jest dla cywilizacji człowiek, robimy w ten sposób w Wileńszczyźnie czynnik niezdatny do żadnej twórczości, a o d s u w a j ą c j ą od jedynej możliwej, polskiej, oddajemy w „hurtkach" na łup agitacji bolszewickiej, a więc rusyfikacji.

A jakież dajemy tej ludności poza oświatą pomoce, bodźce, wzory, cele? Czy jej przyświecają ogniska kultury, jakiemi dawniej były tutaj dwory? Czy tworzą się może miasta, które dźwigają okolicę, jak w Poznańskiem? Nie. Człowieka prostego zostawiliśmy tam — rzec można — sam na sam z Żydami.

Miasta na kresach naszych nie są ogniskami cywilizacji, lecz są gniazdami pasorzytów, niszczących słaby organizm; one odgradzają lud od tych szczebli społecznych, na które powinien wkroczyć po zdobyciu oświaty. W tych dniach p. Rotenstreich miał w Warszawie odczyt o handlu żydowskim w Polsce. Oczywiście skarżył się, że Żydom w Polsce jest ciasno. (Mamy instytut specjalny do badania skarg narodowościowych). Odczyt odbył się w kamienicy książąt Mazowieckich. Od niego się dowiadujemy, że na naszych kresach wschodnich handel jest w 88.3% żydowski. Owe miasta to handel. Ale czem handlować?

Przemysłu niema. Produkcja rolna jest w takim stanie, że byle nieurodzaj w jednym roku, a Wileńszczyzna już cierpi głód. Wtedy nie czas myśleć o tem, jak podnieść kulturę, lecz jak ratować. Więc zdziwienie w prasie warszawskiej. Wywiązuje się ciekawa dyskusja, w której udział bierze rząd, prostując. Pokazuje się, że Wileńszczyzna tak jest złączona z Polską, że gdy w Warszawie cena żyta na targu wynosi 28 zł. za podn. cent., w Wilnie kosztuje 46 zł. Ziemniaki w Wilnie trzy razy są droższe niż w Małopolsce wschodniej. Rząd wyjaśnia, że dowóz wymaga dni 14, stąd różnica w cenach. Dwa tygodnie! A cóż koleje? Nie mówi się tylko o tem, że handel jest w ręku żydowskim. Wreszcie przychodzą wiadomości z Wilna: nic nie pomoże dowóz; zboże by się znalazło pod ręką, ale kupować nie ma za co. Na Wileńszczyźnie ludność nie ma wcale gotówki. Bo skąd tam ona ma dopłynąć? Handel wyżywić musi przedewszystkiem Żydów, a tych z Rosji puszczamy coraz więcej. Podatki stosowane są na kresach w tej samej skali, jak na zachodzie. Przemysłu niema, choć znalazłyby się możliwości rozwoju włókiennictwa (piękne lny), przemysłu drzewnego, rolniczego, hodowli trzód i t. p. Wszystko zahamowane z powodu braku komunikacji, ale głównie z powodu braku zaufania w stałość warunków pracy.

A trzeba sobie uprzytomnić, że kresy wschodnie zniszczyła wojna. Dwory i wioski spalone, lud w wielu okolicach wrócił do życia niemal jaskiniowego, pola porosły krzakami, a lasy przetrzebione przez Niemców. Ze szczególną tedy pieczołowitością gospodarczą, nie z eksperymentami politycznemi trzeba było się wziąć do tego kraju. Wyładowaliśmy energję na sprawę białoruską na to, żeby jeszcze więcej jej zużyć na opędzanie się od „Hurtek" bolszewizujących, które źle zrozumiały naszą zachętę i pożogą a gwałtami niepokoiły wystraszone warsztaty pracy.

W dn. 26 maja r. b. odbył się w Wilnie zjazd kresowego związku ziemian. Dosyć przeczytać sprawozdanie z obrad w sanacyjnem „Słowie", aby mieć pojęcie, jak żywioł kulturalny polski patrzy na naszą robotę. Mówiono wiele o podatkach, które w ostatnich latach rozrosły się bardzo, bo przecież kraj musi złożyć rocznie trzy miljardy na państwo, a 600 miljonów na samorządy. A gdzież inne ciężary społeczne? Domagano się między innemi od ministerstwa robót publicznych, aby przypomniało, że budowa kolei Woropajewo-Druja, przez rząd poniechana, powinna być skończona, bo nie ma dojazdu do okolic głodujących...

Co się tyczy kolei — to były minister p. Paweł Romocki został mianowany prezesem wileńskiej Izby Przemysłowo-Handlowej. Zapewne na tem biurku wyjaśni sobie powody tak późnych dostaw z kraju i różnicy cen na zboże i kartofle; obecnie zaś ogłasza w „Gazecie Handlowej" (nr. 115) artykuł programowy. Otóż będzie w Izbie pracował nad sposobami oddziałania na Skarb „aby różnice skrukturalne Ziem północno-wschodnich znalazły swój odpowiedni wyraz w stawkach podatkowych projektowanych ustaw". To samo co do taryf kolejowych.

„Dziennik Wileński", charakteryzując zdenerwowanie powszechne z powodu bezwzględnego ściągania podatków, utrzymuje, że każdy turkot bryczki na kresach budzi panikę: „sekwestrator jedzie!" Dawniej gdy kto żartem „uderzył w szklankę noża trzonkiem, drżały kobiety nasze, staruszkowie bledli, myśląc że już zajeżdża feldjeger ze dzwonkiem". „Słowo" sanacyjne donosi, że obecnie, w czasie głodu w powiecie, starosta święciański Mydlarz urządził presję na sejmiki gminne, aby podnosiły podatki o 50%. „Naprzód" krakowski podkreśla subtelny krok rządu, który wniósł do Sejmu (zresztą nieczynnego) projekt ustawy o przyznanie miljona złotych na głodnych w Wileńszczyźnie.

Przytaczam fakty, które mam pod ręką, aby pokazać, że właściwie wszystko, co się w kraju dzieje, jest dla nas (używam tej formy, odpowiedzialność bowiem dźwigamy wszyscy) jest dla nas niespodzianką. Szczególnie jest to charakterystyczne co do Wileńszczyzny, o której przecież tyle się słyszy, jako o dzielnicy ukochanej, ponad wszystkie inne łaską wyniesionej. Tak jest od święta, ale kończy się na obchodach. Na rzeczywistość Polska ma oczy zawiązane.

Im więcej się o Wilnie mówi — tem gorzej. Lepiejby coś robić! Do takiego kraju zabitego w kąt między naelektryzowane wrogością granice państwa, stosować należy specjalną politykę, polegającą na wiele-robieniu, a mało-mówieniu. Tam potrzebny jest spokój, rękojmia musi być dana co do pokojowego stosunku z sąsiadem, wszystko powinno być robione, aby wzbudzić wiarę w trwałość odzyskanego stanu posiadania. Do takiego kraju powinni ciągnąć ludzie i kapitały. Większa własność rolna powinna być pielęgnowana, jak oazy w pustyni. A przecież słychać tylko o wyprzedażach i o emigracji. Przybywa tylko Żydów. Ziemia potrzebuje wkładów, aby mógł w związku z rolnictwem powstać jaki taki przemysł. Nie zastąpi dawnych sił twórczych osadnik wojskowy, porzucający zresztą rolę, bo nie wyposażony w żadne pomoce. Całokształt polityki polskiej dostosowany być winien—od hodowli człowieka w szkołach do hodowli lnu — do specjalnych warunków, aby ten kraj kwitł. A ileż bogactw tam leży w ziemi i ludziach!

Marnujemy lata. Im dalej, tem gorzej. Nie możemy się zdobyć na myśl o rzeczach; ciągle symbole i gesty. A trzeba się zdecydować, czy robimy Polskę, czy co innego. Ta myśl jasna powinna przenikać całą naszą twórczość od kresów zachodnich do wschodnich. Teraz bowiem w Warszawie załamują się dwa światopoglądy, dwie metody sprzeczne: Poznań i Wilno. W Gnieźnie stawiamy pomnik Chrobremu zbieraczowi ziem polskich, w Wilnie myślimy o „regjonaliźmie" białoruskim, w Poznaniu święto pracy i zasobności, w Wileńszczyźnie — głód, szeroki gest wschodni, pełen pogardy dla polskiej rzeczywistości.

Ziemianie polscy na kresach, którzy nieśli na wschód zasady cywilizacji łacińskiej, dzisiaj ratując swe resztki, zwracają się w sposób pouczający do rządu warszawskiego z rezolucją, powziętą na zjeździe w Wilnie („Słowo" nr. 120):

„Walne Zgromadzenie po rozważeniu całego projektu Ministerstwa Reform Rolnych o obrocie ziemią, uznaje podobne pomysły za niweczące w dziedzinie stosunków rolnych te podstawy, na których winno opierać się państwo kulturalne. Walne Zgromadzenie wyraża nadzieję, że Rząd polski uchroni na przyszłość społeczeństwo od wstrząsów gospodarczych, nieuchronnie związanych z podobnemi eksperymentami".

Gdyby nie te resztki starej cywilizacji, które pozostały na kresach, gdyby nie serce przez Mickiewicza zastrojone z całością polską w przestrzeni kraju i w czasie historycznym aż do Chrobrego, skąd dobyłby się w Wilnie ten cichy głos na hejnał poznański: „Słyszymy—słyszymy"? Niktby hejnału nie usłyszał i nie zrozumiał.

Wileńszczyzna jest głodna. Ale jest to głód nietylko chleba, — to głód Polski.

ZYGMUNT WASILEWSKI

Z AKTUALNYCH ZAGADNIEŃ SKARBOWYCH

ZAPASY KASOWE — FUNDUSZE SPECJALNE

O ILE w dziedzinie prawa i zwyczajów budżetowych mamy i dużą praktykę i aż 4 gotowe projekty ustawy (prof. Kemmerera, wiceministra Bol. Markowskiego ś. p. Jana Żarnowskiego i Krakowskiego Towarzystwa Ekonomicznego) oraz kilkanaście ustaw budżetowych, o tyle w dziale drugim tego samego zagadnienia, w dziale gospodarki zapasami i rezerwami kasowemi tudzież w dziale administracji funduszami specjalnemi, żadnych ustalonych norm niema.

A idzie tu o sumy bynajmniej nie drobne.

I. „Biuletyn statystyczny Ministerstwa Skarbu", zeszyt na grudzień 1928 na str. 20 podaje:

Gotówka skarbowa z końcem okresu sprawozdawczego:

1) w Kasach	zł.	105.429.529	gr.	13
2) w P. K. O.	„	40.184.571	„	59
3) w Banku Polskim	„	266.921.018	„	95
4) Na specjalnym r-ku w Banku Polskim	„	177.910.733	„	55
Razem	zł.	590.445.853	gr.	22

Poza tem w pozycji „sumy obce", niewypłacone, widnieje aż 266.400.806 zł. w tem sumy: śląskie 10.184.572 zł., komunalne 32.844.149 zł., fundusze specjalne 14.826.888 zł., rachunki bieżące 197.416.082 zł.

Jak wynika z przedłożonych Sejmowi „Zamknięć rachunkowych" za lata 1924 i 1925, wynosiły rezerwy skarbowe w ostatnim dniu 1924 r.—131.715.415 zł. 28 gr., 1925 r. — 152.401.437 zł. „Sprawozdanie Ministerstwa Skarbu za r. 1928", drukowane jako „Wydawnictwa Komitetu Ekonomicznego Ministrów" Część I., podaje sumę rezerw z końcem 1927 r. na 460,1 milj. zł. z końcem 1928 r. na 623,8 milj. zł.

Ministerstwo Skarbu twierdzi, iż zasadniczo suma funduszów skarbowych nie powinna być niższą od 400 milj. zł.

Bilans funduszów obrotowych Skarbu Państwa z końcem grudnia 1928 r. wykazywał w aktywach 1.154,5 milj. zł., w pasywach 530,7 milj. zł. — nadwyżka, jak wyżej wykazano, wynosiła 623,8 milj. zł. W pasywach widnieją: 252,9 milj. zł. pozostałości z pożyczki stabilizacyjnej z 1927 r., 272,8 milj. zł. funduszów obcych i 5 milj. zł. „inne". Owe 1.154,5 milj. zł. „swoich i obcych funduszów", któremi dysponuje minister Skarbu, rozmieszczone są następująco: Gotówka w kasach 105,4 milj. zł., Bank Polski 266,9 milj. zł., Banki państwowe 219,8 milj. zł., papiery procentowe 144,4 milj. zł., pozostałe wpływy z pożyczki stabilizacyjnej z r. 1927 — 252,9 mil. zł., pożyczki i sumy zwrotne 91,1 milj. zł., inne 74 milj. zł.

II. Drugą pozycję stanowią zapasy i rezerwy kasowe przedsiębiorstw i monopoli państwowych. Ile one wynoszą, tego dokładnie podać nie umiem. Z końcem roku 1923 wynosiły one tylko 12.542.293 zł., z końcem 1924 r. — 67.745.255 zł., z końcem 1925 r. — 89.659.164 zł. Rachunki przedsiębiorstw i monopoli, podawane obecnie perjodycznie w wydawnictwach urzędowych, coraz częściej kryją końcowe saldo. Zamknięcia okazują się często dopiero po latach. Saldo nie jest jednak małe.

Na uzasadnienie tego sądu przypomnę: do budżetu Ministerstwa Komunikacji na r. 1928/29 wstawiono jako wpływ na wniosek ministra inż. Romockiego 100 mil. zł. z zapasów kasowych tegoż Ministerstwa. Pan minister Romocki, oddając — trochę teoretycznie zresztą — owe 100 milj. zł., nie został bez grosza. Budżet kolei wynosi w wydatkach na rok ponad 1.400 milj. zł. Licząc tak, jak w Ministerstwie Skarbu, iż zapasy kasowe dla zabezpieczenia normalnej gospodarki państwa winny wynosić *plus-minus* półtoramiesięczną tangentę budżetu państwowego (budżet państwowy w wydatkach 2.700 milj. zł. — rezerwy kasowe 400 milj. zł.), obliczać należy rezerwy Ministerstwa Kolei na okrągło 200 milj. zł., Poczt i Telegrafów na 30 milj. zł. Zarząd lasów państwowych udziela odbiorcom swoim kredytu — wynosi on zwykle około 30 milj. zł. Monopole państwowe: spirytusowy i tytuniowy mają zwykle 20 — 30 milj. zł. w zapasach kasowych. Były miesiące, iż miały one ponad 50 milj. zł. w gotówce. Nie wymieniam szczegółowo całego szeregu mniejszych przedsiębiorstw i monopoli. Nie będę jednak zbyt dalekim od prawdy, jeżeli ogólne saldo, jakiem dysponują monopole i przedsiębiorstwa państwowe obecnie, określę na 350—400 milj. zł.

III. Pozycją trzecią, którą dysponuje rząd, są t. zw. fundusze specjalne.

Z pożyczki Dillona z r. 1925 powstał Państwowy Fundusz Gospodarczy, który w dniu 31 grudnia 1928 wynosił 129,469.148 zł. Z sumy tej przekazano na akcję budowlaną 117,879.310 zł. na t. zw. rachunek Państwowego Funduszu Budowlanego, resztę użyto na zakup papierów wartościowych.

Z części pożyczki stabilizacyjnej z r. 1927 utworzono Państwowy Fundusz Kredytowy (zwany popularnie funduszem „F"). Wynosi on na razie 141,342.480 zł. Z czasem do tego funduszu wpłynąć powinny kwoty, jakie uzyska rząd ze sprzedaży akcji Banku Polskiego II emisji, za które rząd zapłacił 75 milj. zł.

Z sumy wpłaconej otrzymały pożyczki: przedsiębiorstwa państwowe (Fabryka związków azotowych w Tarnowie, Wytwórna aparatów telef. i telegr., Poczta, Polmin i t. d.) 50.8 milj. zł., Banki Państwowe (Gosp. Kraj. i Rolny) w formie zakupu listów zastawnych 60 milj. zł., Zakłady kredytowe ziemskie w Warszawie, Poznaniu, Lwowie i Wilnie 27 milj. zł.

Bank Rolny administruje funduszami, przekazanemi mu przez Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych na cele ściśle określone. Budżety państwa corocznie zawierają znaczne stosunkowo sumy na wykonanie reformy rolnej, na likwidację serwitutów, na komasację, na pożyczki meljoracyjne, hodowlane, ogrodnicze i t. d. W dniu 28 lutego 1929 wykazuje Bank Rolny: sumę 33.343.000 zł. w t. zw. funduszach administrowanych i 50 milj. zł. na r-ku Lokat Skarbu.

Idą dalej: 50 milj. zł. pożyczki inwestycyjnej premjowej, zaciągniętej w r. 1928. Nie znam sprawozdania z jej użycia. Wiem tylko, że suma wyłożona do pokrycia w sumie 42,151.600 zł. została w całości pokrytą i wpłaconą. Przeznaczona ona była na zasilenie ruchu budowlanego.

Podawane niedawno bilanse instytucyj ubezpieczeń społecznych wykazały po koniec roku 1928 wzrost majątku o 411 milj. zł. Na sumy te ma rząd wpływ bardzo poważny. W r. 1928 Ubezpieczalnie te zakupiły papierów wartościowych głównie w Banku Gosp. Kraj. za 36 milj. zł. Rząd liczy, iż instytucje te w r. 1929

porobią dalsze zakupy tych papierów i to w sumie zdwojonej.

Pocztowa Kasa Oszczędności posiadała w dniu 31 grudnia 1928 r. oszczędności, w niej ulokowanych, na sumę 122,3 milj. zł. Na rachunkach czekowych P. K. O. było w dniu tym 193,477,594 zł. Z sum tych P.K.O. zakupiła listów zastawnych i obligacyj banków państwowych za 111,3 milj. zł. prywatnych za 36,9 milj. zł., papierów wartościowych państwowych za 19,1 milj. zł., akcyj Banku Polskiego za 5,5 milj. zł.

Kapitał zakładowy — pokryty z budżetu państwa — i własny Banku Gospodarstwa Krajowego wynosił z końcem grudnia 1928 r. — 194.750.000 zł. Banku Rolnego 139.858.000. Lokaty Skarbu Państwa w tym samym czasie wynosiły: w Banku Gospodarstwa Krajowego 356.224.000 zł., w Banku Rolnym 50.000.000 zł.

IV. Trochę za długi, choć bynajmniej nie wyczerpujący spis powyższy daje pojęcie, jak wielkie już dziś są w państwie kredyty zależne od rządu i jak poważne jest zagadnienie ustalenia kierunku użycia tych sum. Zgrubsza sumując trzeba powiedzieć: rząd w kredytach własnych, monopoli i przedsiębiorstw, w kapitale zakładowym banków państwowych, w rezerwach specjalnych (np. 75 milj. zł. z pożyczki stabilizacyjnej jako rezerwa budżetowa), w funduszach specjalnych, w funduszach rezerwowych ubezpieczeń społecznych ma do swej dyspozycji kwotę około 2 miljardów złotych! Przy niesłychanem ubóstwie kapitałów prywatnych, użycie tych rezerw, zależnych od rządu, nadać może zdecydowany charakter całej polityce gospodarczej państwa. Że takie szybkie uzależnianie życia gospodarczego od państwa jest etatyzmem— to nie ulega wątpliwości.

Oczywiście kapitał obrotowy muszą mieć w dostatecznej ilości i Skarb państwa i przedsiębiorstwa państwowe i ubezpieczalnie. Niewątpliwie dobrym i zdrowym jest objaw, iż i skarb i przedsiębiorstwa i ubezpieczalnie mają dochody, z których opłacają wszystkie bieżące swoje potrzeby, a jeszcze poważne sumy odłożyć mogą. Dobre jest i to, że skoro poszliśmy już na drogę tworzenia banków państwowych, dajemy tym bankom mocne podstawy we własnym, z budżetu (z podatków) im przekazanym, kapitale zakładowym. To wszystko jest dobre—jednakowoż pod jednym warunkiem: iż jednocześnie rośnie kapitał prywatny, iż zapasy w ręku państwa lub od niego uzależnione są tylko stosunkowo drobnym procentem od kapitału prywatnego, od ogólnego dochodu społecznego, w kraju wytworzonego. Jeżeli tej proporcji, jeżeli tej równowagi niema, wtedy kraj — z świadomością rządzących lub bez świadomości — wkracza w dziedzinę przemiany ustroju gospodarczego. A na dłuższą metę ta przemiana, którą obecnie Polska przechodzi, na dobre jej nie wyjdzie.

V. W miarę, jak zapasy i rezerwy kasowe, zwłaszcza w Skarbie rosną, aktualne staje się pytanie: jaki jest ich stosunek do wydatków bieżących państwa? Łatwo rozstrzygnąć to pytanie w ubezpieczalniach społecznych: swoje rezerwy lokować mają w papierach pupilarnych, głównie w papierach zastawnych Banków państwowych. Jeszcze łatwiej powiedzieć można przedsiębiorstwom państwowym: wypracowane zyski przekazywać należy ministrowi Skarbu.

Trudniejsze jest zagadnienie, gdy idzie o rezerwy skarbowe. Są państwa, które, raz określiwszy nienaruszalną rezerwę skarbową, resztę wstawiają jako pierwszą pozycję dochodową do budżetu. Wyprowadzoną z zamknięć kasowych sumę n. p. za r. 1927 wstawia się do budżetu na rok 1929.

U nas dotychczasowa forma budżetowania jest wręcz wadliwa. Objaśni to konkretny przykład. Świeżo uchwalony na r. 1929/30 budżet nie zawiera ani grosza w dochodach z dawnych zapasów kasowych. To, co pozostaje z wygospodarowania z lat dawniejszych w kasach państwowych, nie ma w myśl polskiej techniki budżetowania nic wspólnego z budżetem na r. 1929/30. W dniu 1 kwietnia 1929 r. minister Skarbu zaczyna rano od zera w kasie. A tymczasem—znowu w myśl naszych zwyczajów — obowiązany jest minister Skarbu wypłacić już w dniu pierwszym nowego roku budżetowego, w dniu 1 kwietnia, pobory pracownikom państwowym za miesiąc kwiecień zgóry. Cóż więc robi? Pożycza z rezerw i zapasów poprzedniego roku. Amerykanin, prof. Kemmerer, doradza, byśmy pobory wypłacali nie zgóry, ale zdołu, z końcem miesiąca, a wtedy obecny sposób budżetowania w Polsce mógłby pozostać, z tem oczywiście uzupełnieniem, iż osobna ustawa określi: a) ile wynosić ma żelazna rezerwa skarbu, b) w jaki sposób i na co przeznacza się nadwyżki ponad rezerwy żelazne.

Polska nie poszła dotąd ani za radą prof. Kemmerera ani nie zastosowała zwyczajów zagranicznych, aby pozostałości kasowe z lat poprzednich uwzględnić w budżecie. Co gorsze, coraz poważniej zyskuje prawo obywatelstwa w polskich ustawach skarbowych przepis doraźny: ot tak, trochę od ręki, przeznacza się raz jedną, drugi raz inną sumę z zapasów kasowych na doraźne cele. W ostatnich tygodniach zaszedł fakt znamienny dla tej metody: w dniu zamknięcia sesji sejmowej wniósł minister Skarbu projekt ustawy z propozycją, aby mu wolno było z zapasów kasowych zakupić na sumę 75 milj. zł. papierów zastawnych w Banku Gospodarstwa Krajowego dla ożywienia ruchu budowlanego. Projekt miał wszelkie szanse przyjęcia. I tylko przyśpieszone zamknięcie sesji parlamentarnej stanęło na przeszkodzie, aby projekt powyższy nie stał się ustawą.

W marcu 1928 r. przedłożył rząd projekt ustawy, aby z zapasów kasowych przeznaczyć sumę 93 milj. zł. na inwestycje, szczegółowo określone. I poprzednia i ostatnia ustawa skarbowa pozwala ministrowi Skarbu na udzielanie związkom samorządu terytorjalnego i gospodarczego z zapasów kasowych pożyczek na termin nie dłuższy, niż 12 miesięcy i do wysokości 20% sumy podatków, płaconych przez te samorządy jako całości. Ta sama ustawa pozwala na lokowanie rezerw skarbowych do wysokości 25% w papierach procentowych, posiadających bezpieczeństwo pupilarne.

Jeszcze rząd Wład. Grabskiego w okresie przesilenia gospodarczego wydał z zapasów kasowych poważną sumę bankom prywatnym, aby uchronić je przed zawieszeniem wypłat. Jedna z ustaw skarbowych (1927/28) pozwala na pożyczenie Centralnej Kasie Spółek Rolniczych 10 milj. zł. na lat 3.

W paru ostatnich latach wyrabia sobie prawo obywatelstwa jeszcze jeden zwyczaj. W jesieni 1926 r. przedłożył rząd projekt ustawy budżetowej na r. 1927/28, a w niej pomieścił głośny później artykuł 4. Artykuł ten streszczał się w tem, iż jeśli zapasy skarbowe na to pozwolą, to minister Skarbu ma wydać dodatkowo: ministrowi spraw wojskowych 80 milj. zł., innym ministrom ponad 70 milj. zł. Artykuł ten wywołał burzę — ostatecznie rząd w styczniu 1927 r. przed trzeciem czytaniem budżetu cofnął swój projekt. W budżecie na r. 1928/29 dodatki 10% urzędnicze zamieszczono nie tak, jak być powinno, w poszczególnych pozycjach budżetu, ale w ustawie skarbowej. Ta forma nosiła piętno swojego pochodzenia: zrazu rząd godził się tylko na warunkowe wypłacanie owych

10% podwyżki dla pracowników państwowych („jeśli będą pieniądze") i dlatego proponował poseł prof. dr. Krzyżanowski, referent budżetu, zamieszczenie tego przepisu warunkowego w ustawie i z zastrzeżeniem: jeśli będą zapasy i nadwyżki kasowe. Później redakcję ustępu zmieniono, warunkowość usunięto, ale przepis pozostał na starem miejscu. Skorzystał z tego poseł Jan Dąbski i tą furtką wprowadził do Troi i swojego konia: jeśli będą pieniądze, to niech rząd wypłaci na potrzeby małych rolników 100 milj. zł. Większość Sejmu i ten wniosek akceptowała. Ustawa skarbowa z budżetem na r. 1929/30 zawiera ten sam błąd. Znowu pozostawia dodatki urzędnicze w tekście ustawy, choć dodatki mieszkaniowe, później zgłoszone, przeniesiono do poszczególnych części paragrafów budżetu, znowu pozwala na pożyczki dla samorządów. Co gorsza, zawiera — ogólnie zagranicą poza Anglją, inaczej budżetującą, potępiany zwyczaj — przepisy, dotyczące wysokości stawek podatku (Art. 10).

O krok dalej poszedł w roku budżetowym 1927/28 rząd. Słowa „jeżeli będą pieniądze" zamienił na „skoro są pieniądze" — i wydał, nie pytając nikogo o pozwolenie, blisko 600 milj. zł. z gromadzonych rezerw i zapasów kasowych. W r. budżetowym 1928/29 „skoro pieniądze znowu były" wydano ponad budżet około 200 milj. zł. Gospodarka ta zaprowadziła narazie ministra Skarbu przed Trybunał Stanu. Ale to najlepiej dowodzi, że gospodarka zapasami kasowemi jest tą dziedziną, która wymaga szybkiego uporządkowania.

W latach dawniejszych było inaczej i dlatego wówczas sprawa nie była tak pilna. W r. 1924 rząd wydał mniej, niż mu na to pozwalała ustawa skarbowa, o 146.739.715 zł. w r. 1925 również mniej o 129.479.659 zł.

Widzieli i widzą te luki w naszem ustawodawstwie i niebezpieczeństwa, stąd płynące, obcy. To też i prof. Kemmerer o tem w swych „Sprawozdaniach i zaleceniach" pisze i, co ważniejsze, grupa finansistów, ofiarowując w jesieni 1928 rządowi pożyczkę stabilizacyjną, postawiła warunki, które, poza stabilizacją pieniądza, poza gwarancjami zwrotu pożyczonych pieniędzy, sięgnęły i do interesującego nas zagadnienia: do tworzenia i lokowania rezerw kasowych państwa, monopoli i przedsiębiorstw państwowych. O stosunku natomiast rezerw do budżetu i o zużyciu nadwyżek w zapasie rezerw, narzucony Polsce przez konsorcjum banków zagranicznych plan stabilizacyjny nic nie mówi. W „Rozporządzeniu Prezydenta Rzeczypospolitej" z 13 października 1927 r. Nr. 88" Rząd polski zobowiązał się do podporządkowania się następującym przepisom:

1). Rząd uznaje, że równowaga budżetowa, już osiągnięta za r. 1926/27, winna być ustalona na mocnych i trwałych podstawach; dla zabezpieczenia tych wyników od przypadku i niepewności Rząd uczyni zarządzenia, mające na celu osiągnięcie nadwyżek budżetowych w ciągu najbliższych dwóch lat. Rząd zobowiązuje się zwiększyć dochody w r. 1927/28 conajmniej o 300 milj. zł., a w roku 1928/29 przedłożyć budżet wykazujący istotną nadwyżkę w dochodach.

2). Rrząd będzie kontynuował miesięczne budżety.

3). Wszystkie wpłaty na rzecz Rządu i wypłaty rządowe będą dokonywane za pośrednictwem Banku Polskiego, P. K. O. i kas skarbowych. Wszystkie wolne fundusze skarbowe będą lokowane w Banku Polskim, który będzie stale i perjodycznie informowany o stanie rozrachuuku Skarbu z P. K. O. i kasami skarbowemi.

4). Dochody i wydatki wszystkich przedsiębiorstw państwowych nieskomercjalizowanych będą administrowane oddzielnie od ogólnych rachunków państwowych w ten sposób, ażeby wpływy *brutto* i nadwyżki dochodów z tych wpływów nie mogły być użyte w sposób inny, aniżeli ten, jaki jest przewidziany w budżecie. Budżety i finansowe operacje przedsiębiorstw państwowych skomercjalizowanych będą poddane kontroli Ministerstwa Skarbu.

5). Minister Skarbu będzie wykonywał nadzór nad lokowaniem wolnych funduszów przedsiębiorstw państwowych w tym celu, aby fundusze te były zużywane zgodnie z polityką pieniężną, za którą jest odpowiedzialny Bank Polski (utrzymanie kursu złotego).

6). Rząd w możliwie najkrótszym czasie zorganizuje koleje na zasadach autonomicznych albo na zasadach handlowych.

7). Rząd przygotuje bezwłocznie plan reformy systemu podatkowego i przedsięweźmie kroki, niezbędne dla wprowadzenia go w życie.

8). Rząd postanawia, że minister Skarbu nie będzie korzystał w ciągu roku 1927/28 z uprawnienia, które mu zostało udzielone przez art. 9 ustawy skarbowej z 22 marca 1927 r., a które upoważnia go do udzielania z funduszów skarbowych pożyczek bankom państwowym, samorządowym, przedsiębiorstwom publicznym, jak również na inne cele, oraz że minister Skarbu nie zażąda wprowadzenia takiego artykułu do przyszłych budżetów. Jednakowoż w toku ustalania niezależnego systemu finansów samorządowych, Skarb może udzielać samorządom krótkoterminowych pożyczek na termin, nie przekraczający 12 miesięcy.

9). Rząd zdeponuje w Banku Polskim 75 milj. zł. jako rezerwę skarbową. Rezerwa ta nie będzie ani zniesiona ani zmniejszona tak długo, dopóki Bank Polski i Doradca nie przyjdą do przekonania, że wewnętrzne warunki rynkowe dla uzyskania pożyczek krótkoterminowych ustabilizowały się dostatecznie, by uczynić tę rezerwę zbyteczną, albo, że rezerwa skarbowa może być i będzie odtworzona z nadwyżek budżetowych.

Jak z wyliczenia powyższych przepisów widzimy, zagraniczni bankierzy traktowali całe zagadnienie pod kątem widzenia ustabilizowania waluty, ufundowania możliwie trwałych podstaw dla rozwoju Banku Polskiego i zabezpieczenia dla siebie gwarancyj punktualnego spłacania rat i procentów od udzielonej pożyczki. Wiadomo nam też, że zarówno prof. Kemmerer, jak i grupa banków amerykańskich interesowali się tak żywo zarówno Polską i jej walutą, jak i szeregiem innych państw europejskich o słabej walucie dlatego, aby te państwa powróciły do waluty złotowej.

VI. Plan stabilizacyjny, narzucony Polsce przez zagranicę, nie wyczerpuje tedy zagadnienia. W Polsce pilną, naprawdę pilną, jest sprawa ustawowego uregulowania żelaznej rezerwy skarbowej i zużywania nadwyżek ponad tę rezerwę. Pilną jest sprawa ustalenia form zarządu (statutów) funduszów o specjalnych celach, choćby na modłę zużycia funduszu z podatku od lokali na rozbudowę miast. Pilną jest sprawa ustalenia planu lokowania i zużywania funduszów zapasowych przedsiębiorstw państwowych i ubezpieczeń społecznych.

Forma, jaką przyjmiemy, jest dość obojętna. Każda może być dobrą. Byle był porządek w administrowaniu kwotą, jak wywodziłem w pierwszej części, sięgającą dwu miljardów złotych, i byle był — plan używania tych sum, zgodny z interesem państwa.

STANISŁAW RYMAR

Z ŻYCIA ZORILLI

(1817 — 1893)

ZNAMY dziś wszyscy (w świetnym przekładzie St. Miłaszewskiego) *„Don Juana Tenorio"*, arcydzieło Joségo Zorilli, jednak nikt prawie, zapytany o autora, nie potrafi dokładnie odpowiedzieć, w jakim przynajmniej stuleciu żył i tworzył artysta tak niepośledniej miary. Jedni odnoszą go do XVI inni do XVII wieku, inni mają niejasne przeczucie, że był to romantyk, ogół przyznaje się szczerze do zupełnej pod tym względem niewiedzy. Niedawno wpadły mi w ręce wspomnienia Zorilli (*„Recuerdos del tiempo viejo"*). Podzielę się z czytelnikami garstką wiadomości, które rozproszą może choć w części smutny mrok niewiedzy i rzucą nieco światła na ciekawą postać poety.

Don José Zorilla urodził się w Valladolid w Kastylji w 1817 r. Ojciec jego, właściciel ogromnych włości Torquemady w okolicach Palencji, był wytrawnym prawnikiem i zajmował za królowej Krystyny wysokie stanowisko generalnego superintendenta policji państwowej. Bezwzględny i energiczny w 40 dni oczyścił Madryt od opryszków, wieszając pojmanych na latarni; inni ze strachu przycichli. Zdaniem Zorilli był to jedyny okres, gdy Madryt można było nazwać wolnym od „zawodowych" złoczyńców. Gorliwy monarchista, po upadku władzy królewskiej musiał stary Zorilla usunąć się z Madrytu na prowincję, a następnie wyemigrował do Francji, służąc nadal wygnanym pretendentom do tronu hiszpańskiego i marząc o ich powrocie. Oschły, zimny i surowy, zaślepiony rodową dumą, nie potrafił nigdy zrozumieć uczuciowej natury syna i nie wybaczył mu do śmierci, że jest poetą. Nieśmiała, zahukana matka Joségo niedługo mogła otaczać jedynaka serdecznem ciepłem; gdy miał lat 9 oddano go do kolegjum jezuickiego w Madrycie, gdzie wychowywali się wówczas synowie najpierwszych rodów. Ukończył je w r. 1833, mając lat 16.

Mały José od najwcześniejszego dzieciństwa okazywał niezwykłą wrażliwość, wyobraźnię i skłonność do wizjonerstwa. Bywając z matką w parafjalnym kościele w Valladolid, widywał tam nieraz wizerunki złych duchów, aniołów i świętych, z których dwa szczególnie utkwiły mu w pamięci: rzeźbiony posąg ś-go Marcina (w stroju rycerza na białym rumaku), dzielącego mieczem płaszcz, którym ma okryć Chrystusa — i obraz ś-go Michała, gromiącego mieczem djabła. Djabeł miał twarz bardzo ciemną, nadzwyczaj świecące białka oczu i śnieżno białe zęby wśród niezwykle czerwonych, rozchylonych warg. José miał wówczas lat 5—7. Pewnego razu bawił się na balkonie rodzicielskiego domu, gdy nagle usłyszał tentent w uliczce od strony Ś-go Marcina. W uliczkę wjechał jeździec niezwykłej postury, sięgał bowiem głową balkonu I-go piętra. Biały jego rumak potrząsał jedwabistą grzywą i wyparskiwał z nozdrzy kłęby pary, jeździec uśmiechał się do chłopca i dawał mu ręką znaki porozumiewawcze, a uradowany malec witał go wzajem uśmiechem. Postać jeźdźca wyryła mu się na zawsze w pamięci: twarz miał bardzo ciemną, niezrównane promienne spojrzenie oczu o świecących białkach; uroczy uśmiech ust o wargach niezwykle czerwonych odkrywał śnieżne białe zęby. Znikł za zakrętem drogi, a malec pobiegł do pokoju i oznajmił matce: „Widziałem djabła Ś-go Michała na koniu Ś-go Marcina". W późniejszych swoich podaniach i legendach poetyckich przedstawiał djabła zawsze pociągająco.

W domu rodzinnym Zorilli, jak w wielu naszych tradycyjnych dworkach, był tajemniczy pokój gościnny, przeważnie niezamieszkały. Od czasu do czasu bawił w nim przejazdem ktoś z krewnych — zresztą stał pustkami i rzadko kto do niego zaglądał. Pewnego razu chłopczyk galopował po korytarzach na tekturowym koniku, gdy przez drzwi uchylone ujrzał w gościnnym pokoju na fotelu jakąś postać kobiecą. W jadalni przy zapalonej lampie czytali coś rodzice, nieznajoma marzyła widocznie samotnie o szarej godzinie; chłopczyk wziął ją za jedną z gości i zatrzymawszy się we drzwiach ciekawie jej się przyglądał. Nieznajoma uśmiechnęła się i przywabiła go skinieniem. Uprzejmie zbliżył się do niej na swym tekturowym wierzchowcu i oparł rączkę na poręczy jej fotela. Pani poklepała go po ręku, pogłaskała po włosach i rzekła: „Jestem twoja babunia; kochaj mię, a Bóg cię oświeci". Wróciwszy do zabawy dziecko mimochodem spytało rodziców jak na imię babuni, która mieszka w gościnnym pokoju. Zdumienie rodziców nie miało granic — okazało się, że w tym pokoju oddawna nikt nie mieszkał, musiało się dziecku coś przewidzieć. Odtąd drzwi od gościnnego pokoju zabobonnie zamykano. W dziesięć lat później, już jako student, José porządkując raz z ojcem stare graty na strychu, w zakurzonym portrecie prababki w zielonej sukni poznał nagle tę samą panią, z którą wówczas rozmawiał jako dziecko.

W kolegjum okazywał od dziecka wstręt do nauk ścisłych a przykładał się do rysunków, fechtunku i literatury pięknej. Mając lat 12 napisał pierwszy wiersz. Poziom nauk kolegjum (*Real Seminario de los Nobles*) stał wówczas bardzo wysoko—młody Zorilla otrzymał w niem bardzo gruntowne i staranne wykształcenie. Ze szkoły tej wyszło w tym czasie wielu wybitnych ludzi — literatów i działaczów politycznych. José nie odznaczał się pilnością. Wolał czytywać pokryjomu dzieła Walter Scotta, Fenimora Coopera i Chateaubrianda, a na egzaminach i popisach szkolnych słynął jako wybitny deklamator. Grywał też role w amatorskich przedstawieniach szkolnych, które zaszczycał nieraz swą obecnością król Ferdynand VII z bratem Don Karlosem. Synowie Don Karlosa przychodzili nieraz na zabawy do wychowanków konwiktu. Od zarania życia młody Zorilla nabierał dwornych manjer i gładkości w obejściu, co stało mu się później w życiu niezmiernem ułatwieniem.

Po ukończeniu szkoły średniej José wstąpił na rozkaz ojca na wydział prawny Uniwersytetu w Toledo. Stary bowiem jurysta i arystokrata uważał wiedzę prawniczą za jedynie godną potomka tak znakomitego rodu, jedyną drogę do przyszłych zaszczytów. Aby młody lekkoduch nie zboczył z drogi cnoty, umieścił go na kwaterze u wuja jego—proboszcza. Niestety, niepoprawny marzyciel gotował ojcu gorzki zawód, a wujowi utrapienie. Zamiast uczęszczać na wykłady, włóczył się całemi dniami po okolicy, szkicował zapamiętale skały, zamczyska i mosty na Tajo i wchłaniał poezję starożytnej maurytańskiej architektury. Rozkochany w poezji dawnych synagog i meczetów, zamienionych dziś na kościoły, wskrzeszał w wyobraźni legendy średniowiecza, zbierał podania o Wieży Don Rodriga lub o Chrystusie z Vega, o którym miał z czasem napisać jeden z najpiękniejszych swych poematów (*„A buen juez mejor testigo"* — „Dobremu sędziemu

najlepszy świadek"). Podziwiał misterne rozety świątyń, wielbił niezrównaną snycerską robotę gotyckich stall i ołtarzy — a czcigodne kodeksy i kanony praw miał w najwyższej pogardzie.

Odnaleźli się też na Uniwersytecie dawni weseli towarzysze z grona złotej młodzieży kolegjackiej, co bynajmniej nie wpłynęło na zwiększenie się zapału do nauk. Z ulubionym Madrazem znikali na całe dnie z oczu wujaszka, to też zgorszony opiekun napisał wkrótce list do ojca Zorilli, skarżąc się, że młody José jest na złej drodze, w głowie ma same fatałaszki i nie nadaje się na adwokata. Ojciec przeniósł wyrodnego syna do Valladolid i polecił pieczę nad nim byłemu koledze szkolnemu, ówczesnemu rektorowi Uniwersytetu, Don Manuelowi Taranconowi. José kochał niezmiernie Don Tarancona, bo ten go rozumiał i nieraz później podejmował się roli pojednawczej między ojcem a synem. Ale natura ciągnie wilka do lasu, czar romantyzmu i wrodzonego powołania okazał się nieprzemożonym. Odnalazł się też i tutaj Pedro Madrazo, współwinowajca poetyckich zbrodni z Valladolid; studjowali więc nadal pospołu głazy, ruiny i podania średniowieczne. W domu przyjaciela José zapoznał się z najnowszemi utworami ówczesnej literatury, wychodzącemi w czasopismach. Czytywał tam wiersze Kazimierza de la Vigne, Wiktora Hugo, Esproncedy (rodaka romantyka), dzieła Aleksandra Dumasa, Chateaubrianda, Juana de Mena i średniowieczne *Romancero*. Kodeksów prawnych unikał jak ognia, to też wkrótce ojciec otrzymał od wielebnego Ks. Rektora list tej samej treści, co i poprzedni. Świątobliwy opiekun stwierdzał w nim z całem przekonaniem, że José jest poprostu obieżyświatem i próżniakiem, że włóczy się przy księżycu po cmentarzach i przyjaźni się z synami wrogów swego ojca. (Mowa tu o Miguelu de los Santos Alvarezie, późniejszym towarzyszu poety w Madrycie, bracie jego pierwszej żony). Ojciec zagroził jedynakowi plagami i zapowiedział, że każe mu otopywać winnice w rodowej Torquemadzie, o ile się nie poprawi i nie przygotuje się do egzaminów. To stropiło syna. Nie miał bynajmniej zamiaru zdawać egzaminów, co też wręcz wyznał Don Taranconowi, wskutek czego wpakowano go do dyliżansu idącego w stronę Lermy, a konduktor miał go odstawić ciupasem i wydać w ręce ojcowskie. Chłopak dopadł po drodze pierwszej lepszej szkapy i zemknął z powrotem do Valladolid, a przenocowawszy u Alvareza wymknął się nazajutrz do Madrytu. Porwany jego przykładem Alvarez wkrótce poszedł w jego ślady.

Rodzina napróżno poszukiwała zbiega po wszystkich krewnych w okolicach Palencji i Burgos. Ukrywał się on bezpiecznie u przyjaciół i kolegów w Madrycie, unikając pilnie domów, gdzieby go mogły doścignąć listy gończe ojcowskie. Był bez grosza. Wkrótce zaprzyjaźnił się z młodym literatem Manuelem Assaz i dołączył do jego artykułów archeologicznych swoje rysunki starych wież Madrytu, za co otrzymał pierwsze w życiu honorarjum—artykuły owe bowiem, pisane po francusku, wyszły drukiem w jednem z pism paryskich. Został też współredaktorem jednej z gazetek *ultra*-radykalnych, którą po 2-ch miesiącach zamknęła policja, wskutek czego redaktorowie jej o mało nie przejechali się na Filipiny (ówczesne miejsce zesłania przestępców). Zorilla, widząc nadchodzących żandarmów, szczęśliwie wydostał się na tylne podwórko po balkonach pierwszego piętra i zdołał zniknąć im z oczu. Spotkawszy na mieście znajomego cygana, któremu niegdyś uratował był życie, schronił się pod jego opiekę, a wdzięczny cygan pozaplatał mu włosy w warkoczyki, umazał mu twarz na bronz, przebrał w swój kaftan i pas cygański i szczęśliwie wyprowadził za miasto w szeregach własnej bandy. Po dziesięciu dniach, w czasie których przeszła przez Madryt rewolucja, José wrócił do miasta i zamieszkał na poddaszu u pewnego koszykarza.

Los zetknął go znowu z Alvarezem, dawnym towarzyszem z ławy szkolnej i przyjacielem z Valladolid. Odtąd ranki spędzał u Alvareza, dnie w Bibljotece Narodowej (dla ciepła), a nocami śnił o sławie i przebłaganiu ojca, którego zmiękczą kiedyś przecie laury syna. Jeden z przyjaciół dał mu list polecający do redaktora „Świata" („*El Mundo*"), niestety, jednak nie przyjęto go.

W tym czasie zaszedł wypadek, któremu Zorilla zawdzięcza całe swoje powodzenie. Młody poeta Mario Larra, rewolucjonista, odebrał sobie życie i jeden z przyjaciół doradził Josému napisać przy tej okazji wiersz okolicznościowy, który odczytanoby na pogrzebie, a potem może umieszczono w gazetach. Wiersz miał podpisać swojem nazwiskiem ów przyjaciel, bo Zorilla nie mógł narażać się ojcu, podpisując się pod utworem na cześć człowieka wolnomyślnego i do tego samobójcy. Zorilla widział Larrę w trumnie, w podziemiach kościoła Santiago i uczyniło to na nim wielkie wrażenie. Wieczorem na strychu powstał na cześć jego natchniony poemat, napisany kawałkiem zastruganej łoziny, farbą do barwienia koszyków, w jakimś przygodnym notatniku.

Pogrzeb Larry był wielką manifestacją wolnościową; pierwszy to raz od czasu rewolucji grzebano samobójcę na cmentarzu. Tłumy zaległy cmentarz. Przemawiali kolejno wszyscy sławniejsi autorowie, a niektórym z nich przedstawiono Zorillę. Chwila była osobliwa — publiczność nastrojona, jak nigdy, do odbierania wrażeń. Świeży, młodzieńczy głos Zorilli, jego dziecięca postać, przykuły odrazu uwagę tłumów; wszyscy byli głęboko wzruszeni jego pięknym wierszem. Rozpłakał się czytając go, i musiał go za niego dokończyć ktoś inny. Odrazu stał się głośnym. Młodzi literaci i dziennikarze zajęli się nim gorliwie, wciągnęli go do czasopisma „Przyszłość", („*El Porvenir*"), a następnie do poczytnego dziennika „Hiszpan" („*El Espanol*"), w którym odtąd umieszczał bez przerwy swoje utwory, okazując nadzwyczajne bogactwo fantazji i płodność poetycką. Wkrótce miał już byt zupełnie zabezpieczony, stał się poczytnym i znanym. Na zebraniach towarzystwa literacko-artystycznego Liceum odczytywał publicznie swoje wiersze i zdobywał popularność, obracając się w gronie ludzi, z którego wyszły wszystkie późniejsze znakomitości Madrytu. Poznał koryfeusza ówczesnej poezji—Esproncedę. W owym też czasie ożenił się; o życiu jednak rodzinnem niema żadnej wzmianki w jego pamiętnikach, zapewne ze względów delikatności nie chciał ich poruszać za życia bliskich osób. Wiadomo tylko, że był żonaty dwa razy, a dwie jego córki umarły w wieku dziecęcym. Wkrótce miał już za sobą poważny dorobek literacki: 11 tomów poezyj. Przeciwnicy polityczni ojca, sprawcy jego wygnania, wzięli w opiekę syna; ofiarowano mu wysoki urząd, sekretarza przy ambasadzie, oraz zarząd nad dobrami ojcowskiemi w Torquemadzie. Nie przyjął ich, mówiąc, że przez ucieczkę z domu zrzekł się praw syna; nie chciał też nic zawdzięczać wrogom swego ojca. Praktyczny ojciec po powrocie z emigracji nie mógł mu tego darować.

(Dok. nast.)

BARBARA ZAN

LIBERUM VETO

Przyczynki do nowego słownika.—Co to jest zniewaga.—Prikazano. — Dwa języki. — Konstytucja i Zakon. — Mogiła nieznanych żołnierzy.

W HISTORJI naszej były okresy panowania pałacu, panowania dworu szlacheckiego, panowania plebanji, obecnie ton zaczęła nadawać — karczma. Jakie w niej odbywają się pląsy, bójki, wrzaski i wymysły a jaka muzyka *jazzband*'u! Piszę te wyrazy, w przekonaniu, że czytelnicy pojmują je w dawnem znaczeniu, kiedy to jeszcze złodziejem nazywał się złodziej, mordercą — morderca, a uczciwym — uczciwy. Czas ten mija wraz z pokoleniami, które wychował. Jeżeli zaś nasza współczesność potrwa dłużej, w XXI stuleciu „sanacyjny" historyk literatury będzie musiał teraźniejsze roczniki „Myśli Narodowej" odczytywać ze słownikiem staropolskim. Z dziwną zawziętością los skazuje nas na dwoistość mówienia: w niewoli używaliśmy języka polsko-rosyjskiego, polsko-pruskiego i polsko-austrjackiego; obecnie znowu polsko-„sanacyjnego". Jest to już ósmy, którego muszę się uczyć i wyznaję, że czy to skutkiem osłabionej pamięci, czy mocnej odrazy, ten przyswajam sobie najtrudniej. Niedawno przekonałem się o tem dowodnie. Dotychczas mniemałem, że uznać kogoś za nieodpowiedniego do spełnienia pewnej czynności, jest tylko wyrażeniem krytycznej opinji a nie zniewagą. Nie czułbym się wcale obrażonym, gdyby mi ktoś powiedział, że jestem lichym gimnastykiem, weterynarzem, cenzorem, gorzelanym, twórcą radości, „sanatorem" i nie posiadam stu innych uzdolnień. Nadto jeżeli między czytelnikami „Myśli Narodowej" są starsi znawcy mojej działalności literackiej, zaświadczą, że nigdy, nawet w najostrzejszych starciach polemicznych, nie walczyłem demokratyczną pałką, że przeciwnie starałem się zawsze używać arystokratycznej szpady. Jednego tylko gatunku ludzkiego nienawidzę, mianowicie chama, obejmującego zresztą bardzo wiele odmian: jest w nim, oprócz brutala, zbój, złodziej, gwałciciel, potwarca i t. d. Wszystkich innych ludzi szanuję i lubię. I oto z konfiskaty numeru „Myśli Narodowej" dowiaduję się, że „znieważyłem" ministra, bo uznałem go niewłaściwym delegatem rządu na odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Paryżu. Gdyby ktoś miał kaprys a ja chęć wydelegowania mnie na kongres chirurgów i gdyby w prasie zganiono mój wybór, nie uważałbym tej nagany za „zniewagę". Modny powieściopisarz rosyjski Erenburg, którego niedawno opryskano wonnościami w Warszawie, a on osmarował Polaków dziegciem, mówi przez jednego ze swoich bohaterów: „Gdyby kazano, to znaczy, że tak właśnie trzeba. Tę regułę, którą słyszeliśmy przez 150 lat, słyszymy również i teraz, kiedy wodzowie stronnictw politycznych i najwyżsi dostojnicy państwa powtarzają bez upokorzenia, owszem, z dumą: „Tak kazano". Żadnemu z tych demokratów, radykałów, republikanów nie zamarzy się nawet we śnie, ażeby ulżył pokusie własnej myśli i woli, ażeby istniało jakieś inne uprawnienie czynu urzędowego, niż rozkaz. *„Prikazano — zdiełano"*. Zdawałoby się, że pod wpływem wspomnień z niewoli i skrajnie radykalnych rozmachów powinnibyśmy szczególnie nienawidzieć tej reguły, tymczasem jest ona naczelnem przykazaniem wewnętrznej polityki. Nasz demokratyzm, radykalizm, socjalizm, komunizm nie jest zachodnim, ale wschodnim. Jesteśmy bardziej podobni do bolszewików, niż do Francuzów lub Anglików. Jak w komedji Moljera o potwarzy, tak europejczycy mówić mogą o wpływie panowania Rosji na nas: *„Il en restait quelque chose"*.

Ale może my „konfiskowani" odzywamy się o tych, którzy rozkazują i którym rozkazano, obraźliwie? Istnieją i wiecznie istnieć będą obok siebie dwa języki: urzędowy i literacki. Podczas gdy pierwszy jest suchy, wyjałowiony ze wszystkich ozdób, drugi jest tworem artystycznym, malującym obrazy barwne, żywe, które mocniej uwydatniają zarówno rysy jasne, jak ciemne. Wiemy doskonale, jakim stylem należy pisać, ażeby podobać się rozmaitym dekretom i rozporządzeniom. Gdybyśmy np. wydrukowali, że p. X, urodzony danego roku, dyplomowany na uniwersytecie małopolskim jako doktór prawa, posiadający żywej wagi 90 klg. i miłą powierzchowność, wysłany został na zjazd fabrykantów nawozów sztucznych albo ginekologów, cała ta wiadomość ukazałaby się bez utraty jednej litery. Wiemy, jak nasze pióra powinny się zachowywać, ażeby gilotyna cenzury nie spuszczała swego topora a jej pralnia chemiczna nie miała zajęcia. Wszystko to wiemy, ale co mamy począć, jeśli chcemy służyć narodowi, a nie jak dawniej *Jewo Wieliczestwu, Wysokoprewoschoditielstwu, Wysokobłahorodju, Błahorodju?* Zresztą dlaczego dotąd tkwi w naszej konstytucji gwóźdź, zapewniający „wolność słowa?" Czemu nie usunięto go jakimś dekretem, ażeby przestał nas „wodzić na pokuszenie?" Czy to nie prościej, zamknąć drzwi, aniżeli otworzyć je na oścież i postawić przy nich stróża, który niektórego wchodzącego uderzy pałką gumową lub obleje strumieniem zimnej wody? My starsi mamy nabytą w niewoli wprawę w tworzeniu literatury bez wolności słowa, kiedy nam pokazywano knut z objaśnieniem: *„Wot wam konstytucja"* lub kiedy generał-gubernator mówił: *„Zakon eto ja!"* Damy sobie radę, tylko nie trzeba nas darzyć jakąś konstytucją, kopać w niej wilczych dołów, pokrytych z wierzchu zielonemi gałęziami, które zapadają się pod stąpnięciem. Ale może my nadużywamy wolności słowa drukowanego? Przypuszczam, że jej stróże czytają i oglądają wydawnictwa zagraniczne. W prasie narodów najwyższej kultury spotykają artykuły i ilustracje, wobec których nasze skonfiskowane wydają się nieraz w swej niewinności satyrami pensjonarek lub tabliczkami mnożenia. Niedawno ze zdumieniem przeczytałem skonfiskowany i uwolniony z aresztu artykuł prof. Rybarskiego w „Gazecie Warszawskiej". Doprawdy nie trudniejszą do rozwiązania byłaby dla mnie zagadka, gdyby skonfiskowano tablice logarytmów. Anglja jest narodem dbałym o przyzwoitość wyrażeń i o wstrzemięźliwość w naganach, mimo to można tam w gazecie powiedzieć ministrowi, że powinienby raczej być pasterzem owiec, niż członkiem rządu. Prasa francuska w najdotkliwszy sposób ośmiesza i lży nietylko znakomitych i uczciwych ministrów, ale nawet prezydenta Rzeczypospolitej. I oba te państwa nie rozpadają się od tego w gruzy, bo ich kolumnami i wiązaniami są prawa i zasady, a nie dzierżawcy władzy. Nie przeczę, że słowo publiczne może być nadużywanem i powinno być powściąganem, ale w sądzeniu go trzeba chcieć i umieć odróżnić łobuzów dziennikarskich od pisarzów poważnych i godnych. U nas oba te gatunki są zmieszane, a jeżeli okazywana jest większa względność, to raczej pierwszym. Szerokiemi kanałami rozlewa się w naszej prasie plugastwo moralne, którego nie powstrzymuje żadna tama. Tymczasem poważnemu uczonemu, profesorowi uniwersytetu i posłowi nie pozwala się mówić w sprawach gospodarczych.

Ludwik XV, ze swoim potopem po jego śmierci, ma u nas wielu wyznawców, bo jest to wogóle dewiza ludzi małych. Nie nauczymy ich dbania o sąd przyszłości, gdyż nie mają ani nadziei, ani ambicji przedostania się do jej pamięci. Mówią oni sobie i nie sobie: „Abyśmy tylko zdobyli korzystne dostawy lub pensje, to potomność wcale nas nie obchodzi". Ale niechże ci bohaterowie jednego dnia, jednego miesiąca, jednego roku lub kilku lat wiedzą, że my, pracownicy i informatorowie przyszłości, nie pozwolimy im ukryć się przed nią zupełnie, że ich dostarczymy jej, chociaż tylko w bezimiennej masie, że zbierzemy i przechowamy cały materjał obecnego życia ze wszystkiemi jego tajemnicami i pomalowaną fałszem prawdą, że nasz głos, stłumiony dziś swoiście stosowaną „wolnością słowa", sięgnie daleko poza nasz i ich żywot. Spoczną oni we wspólnym grobie historji jako „nieznani żołnierze", tylko że na ich mogile ani nie stanie pomnik, ani nie będą złożone wieńce, tylko może tablica z wyrytą na niej prośbą do przechodnia o miłosierny pacierz za dusze małe i grzeszne.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

NARODY WYBRANE

MOTTO: „Dnia 30 kwietnia r. b. bojówka niemiecka bestjalsko napadła i obiła polskich artystów operowych, którzy przybyli do Opola celem odegrania „Halki"...

„Dnia 2 czerwca r. b, młodzież żydowska we Lwowie obrzuciła przechodzącą procesję Bożego Ciała odłamkami wapna i cegieł, przy akompanjamencie gwizdów i krzyków"...

(Donlesienia dzienników.)

MIELI dotychczas Żydzi monopol na „naród wybrany". Oni lubią monopole... Naraz w świecie nowożytnym przybył im współzawodnik... z przeciwka — drugi „naród wybrany" w postaci Niemców. Po wielu wzajemnych zatargach i targach nastąpiła ich zgoda milcząca i sojusz. Poetycki symbol owej symbjozy odnajdziemy w „księgach puszczy" R. Kiplinga w krokodylu i szakalu. Mugger von Deutschland i Tabaqui d'Izraeli. Piękna i dobrana para...

Na podstawie prawa psychologicznego można *à priori* postawić pewnik, że oba „narody wybrane" musi łączyć szereg bliskich pokrewieństw duchowych. Inaczej nie mogłyby wpaść na wspólny, a tak wyjątkowy pomysł wybrańswa. Różnice łuski pancernej i parszywego owłosienia, ponurej mrukliwości i szczekliwego gadulstwa, ociężałości błotnej i piaszczystej ruchliwości — to tylko zewnętrzne różnice, pod któremi muszą ukrywać się głębokie podobieństwa. A w imię tych podobieństw różnice tylko uzupełniają się wzajem i sobie pomagają. Niby różnice różnych broni w rękach jednego stratega...

Już we wspólnym pomyśle „narodu wybranego" (poniemiecku — „*herrenvolk*") tkwi w obu przyjaciołach jeden i ten sam silnik duchowy — megalomanja. Dotychczas zdawało się, że starego troglodyty z jaskiń arabskich nikt w megalomanji doścignąć nie zdoła. Aliści pozazdrościła w tym względzie pustynna Północ pustynnemu Południowi i ze swych jaskiń lodowych wypuściła na Europę inny typ troglodyty — Germana. Ten uratował honor przyrody na punkcie osławionej jej rozrzutności. Megalomanja przestała być monopolem Jehowy, studjującego Talmud. Równe w niej prawa uzyskał Wotan, zbrojny w maczugę.

Z powodu różnicy... w uwłosieniu każdy z „narodów wybranych" inną dla swej megalomanji obrać musiał drogę. Mugger — pięść pancerną, Tabaqui — sprytne oszustwo. Ale spotkali się wreszcie na wspólnym gościńcu do światowego imperjalizmu i poczuli, że przydadzą się sobie narazie. Jakkolwiek jedno i to samo marzenie obu wybrańców grozi w przyszłości rozterką przy podziale łupu, to jednak na teraz ma ono dla obu wspólne przeszkody, wspólny teren i wspólnych do zwalczania wrogów. Od czasu do czasu, przy sposobności szczerzą na siebie zęby ze zbytku szczerości i zapału, lecz to nazewnątrz przyjaźni nie osłabia.

Megalomanji nagminnej zawsze towarzyszy nagminna nienawiść i pogarda dla wszystkiego, co obce. Święte księgi żydowskie, zwłaszcza Talmud dyszą nienawiścią i pogardą do wszystkich narodów ziemi. Współczesna polityka żydowska na tych samych dwóch podstawach się gruntuje. Tkwią one na dnie duszy każdego Żyda, stanowią miąższ i energję każdego jego nerwu. Taką samą nienawiścią i wzgardą żyje każdy Niemiec. Jego ciężki duch upija się i upaja się niemi codzień. One jedynie „uskrzydlają" tego płaza potwornego, dają „poetycki" ferment piwnej i piwnicznej jusze, która mu krew ludzką zastępuje.

Jak w trzech powyższych cechach, tak i w chamstwie Niemiec i Żyd są braćmi jednego pomiotu. Pozorną różnicę wnosi fizyczna słabość Żyda, co go zniewala do aktorskiego ukrywania swego chamstwa, lecz gdy poczuje się bezpieczny, może w każdej okoliczności pod względem brutalstwa z Niemcem współzawodniczyć. Brak pierwiastka rycerskości, godności i wspaniałomyślności w równym stopniu znany jest całemu światu tak u Niemca, jak u Żyda. Obaj mają dusze handlarskie.

Wynika stąd jeszcze jedno bliskie krewniactwo: w sposobie traktowania kobiety. Wiadomo powszechnie, w jakiem poniżeniu utrzymuje kobietę religja Żydów i ich prawidła kahalne. Pozostaje to w ścisłej zależności od niemęskiego charakteru Żydów, którzy tylko zbiorową przemocą gminnego obyczaju mogą zapewnić sobie przewagę nad kobietą. Stąd też narodowym handlem żydowskim jest handel żywym towarem. Jedyną zaś dla Niemca w sprawie tej okolicznością łagodzącą jest postać Niemki, którą przyroda, prócz cech anatomicznych, pozbawiła wszelkich znamion kobiecości.

Cechy powyższe zgóry usposobiają oba narody wybrane do imperjalizmu. Panowanie nad światem stałem jest ich marzeniem i dążeniem. Tylko środki, sposoby i drogi są różne. Niemcy idą siłą brutalną, Żydzi — podstępem i oszustwem. Zresztą i Niemcy w swej bezmiernej nienawiści i pogardzie względem innych narodów łatwo rozwinęli w sobie tkwiący w nich nerw oszukańczy, którym dzisiaj tak często w stosunkach międzynarodowych się posługują. Co do Żydów — oszustwo jest ich drugą naturą, a ich imperjalizm tem jeszcze różni się od polityczno-gospodarczego i „kulturalnego" (*kulturträger*) imperjalizmu niemieckiego, że przepaja go i zabarwia ich narodowa religja.

Oszustwo obu narodów wybranych ma swoje źródło w ich mózgowości. Żydzi są typowym, okazowym i wręcz patologicznym narodem mózgowców. Pozbawieni są wszelkiego związku z przyrodą, światem, przedmiotem, ludźmi i własnem ciałem w jego czynnościach wrażeniowych. Nie mają intuicji, którą

im zastępuje spryt mózgowy. Stąd pochodzi ich pustogadulstwo i, że tak powiem, fizjologiczne oszustwo. Dla „czystego“ mózgu czarne może być białem, drzewo—stalą, a wszystko jest względne, zaś względność ta uzależniona jest od celów praktycznych. Teorję wszechwzględności mógł tylko powziąć umysł żydowski. Niemcy, jako Arjowie, posiadają związek z przyrodą i przedmiotem, ale znaczny stopień ich mózgowości bardzo ich w porównaniu z innemi narodami obniża. Niemcy wszystkiego muszą się uczyć, a filozofja ich i moralność słynie z mglistości i mętności. I to stanowi podłoże ich oszustwa.

Pomimo wielkich różnic, które dzielą oba narody wybrane i pomimo wzajemnej ich ku sobie nienawiści, wymienione tu podobieństwa okazały się dostatecznie silne do zadzierzgnięcia współpracy w dziedzinie wojny przeciwko innym narodom, głównie katolickim, romańskim i słowiańskim. Nie najmniejszym węzłem stał się protestantyzm, tak bardzo, jak wiadomo, zbliżony do judaizmu, że w niektórych odmianach swych niemal się z nim ideowo pokrywa. Historja wojny światowej, rewolucji rosyjskiej, wojny polsko-bolszewickiej, stosunków Niemiec z Sowdepią, aż do dnia dzisiejszego całkowicie i jaskrawo współpracę obu narodów wybranych potwierdza.

W Polsce obecnej dwie te „agentury obce“ w sposób aż nadto widoczny działają razem i wzajem się wspierają. Masonerja, socjalizm i komunizm są narzędziami Żydów i Niemców w rozmaitym stopniu, zależne od czasowej przewagi dyplomacji i finansjery żydowskiej lub niemieckiej. Obie czarne i drapieżne ręce współpracują również na terenie międzynarodowym. Jednakże punkt ciężkości tego terenu coraz wyraźniej przesuwa się na Polskę i tu, jako polityczny niż barometryczny sadowi się coraz gruntowniej, powodując wszystkie, znane powszechnie depresje i represje.

Niema dobrej polityki bez dobrej znajomości kart, które w grę wchodzą, czyli—narodów. Rzeczowa, rozumna i z gruntu narodowa polityka polska nie może lekceważyć tak głębokich podobieństw w psychologji obu narodów wybranych. Musi bacznie na ich palce poglądać, które w tak zgodnych grają akordach, a ponadto analizować psychologję ich dusz i z niej wnioski na przyszłość wysnuwać. Trzeba zawsze za Niemcem Żyda szukać, a za Żydem—Niemca.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

O STOSUNEK DO MNIEJSZOŚCI ROSYJSKIEJ

OSTATNIE antypolskie wystąpenia niemieckie (żądanie zwrotu Pomorza, zgłoszone przez Dr. Schachta na komisji reparacyjnej w Paryżu, i heca opolska) uzmysłowiły społeczeństwu naszemu ogrom niebezpieczeństwa teutońskiego i dały asumpt naszej prasie do smutnych refleksyj na temat trudności naszego położenia międzynarodowego. „Czas“ krakowski stwierdził melancholijnie, że jesteśmy zewsząd otoczeni wrogami, do których prócz Niemiec, Rosji i Litwy zaliczył również i Czechosłowację. „Rzeczpospolita“ zrobiła nieśmiałą uwagę, że nie widzi racji dopatrywać się bezwzględnych wrogów w państwach słowiańskich, nie rozwinęła jednak swych myśli i nie wskazała nam dróg, prowadzących do zgody w rodzinie narodów słowiańskich.

Wyręczając w tym względzie organ Chrześcijańskiej Demokracji, chcę poruszyć tutaj sprawę stosunku naszego do mniejszości rosyjskiej w naszem państwie, czynnik niemałoważny dla ustalenia w przyszłości normalnych stosunków sąsiedzkich z Rosją. Jaki ma być ten stosunek nie wszyscy dobrze rozumieją.

W rosyjskiej prasie emigracyjnej raz w raz rozlegają się skargi na zły stosunek do Rosjan władz i społeczeństwa polskiego. Dla przykładu, nie szukając dalej, biorę do ręki Nr. „*Za Swobodu*“ z dnia 14 maja r. b.: 1) w kronice cerkiewnej tego pisma czytamy: „metropolita Djonizy wyznaczył nowy zarząd starożytnego bractwa cerkiewnego w Łucku w połowie z rosjan i ukraińców. Pan wojewoda Józewski, przekreślając jednostronnie decyzję metropolity, mianował samych ukraińców, przeważnie nawet ludzi niemiejscowych“. 2) „We wsi Kijowce pow. Bialskiego saperzy przystąpili do rozbiórki cerkwi; o pozwolenie na remont jej napróżno zabiegali u władz naszych konsystorz prawosławny i ludność okoliczna tego wyznania. Rozbiórka cerkwi nastąpiła bez uprzedniego porozumienia z metropolitą Djonizym“. 3) „Rada miasta Wilna odrzuca wniosek r. Bogdanowicza o przyznanie subsydjum miejscowemu gimnazjum rosyjskiemu w kwocie 4000 zł., zaaprobowany już przez odnośną komisję radziecką“.

Jak na jedno pismo i jeden numer skarg dużo. Jeżeli organ warszawski emigracji rosyjskiej mówi o nich z wyraźnem rozgoryczeniem, to łatwo domyśleć się, jakie echo budzić one muszą w prasie tego obozu, wydawanej poza granicami Polski i nieskrępowanej w wypowiadaniu swego zdania temi względami, które nakazują dziennikowi „*Za Swobodu*“ rezerwę w wyjawianiu swych uczuć do Polski i Polaków.

Chcielibyśmy spotkać się z wyjaśnieniami, że fakty powyższe są nieścisłe i skargi nieuzasadnione. Możemy jednak przy tej sposobności, niczego nie przesądzając, zrobić parę uwag, dając wyraz polskiej opinji publicznej.

O stosunku z Rosją czas przestać myśleć kategorjami przedwojennemi, z doby naszej niewoli. Dziś Rosjanie nie są naszymi ciemiężycielami, lecz nieszczęśliwymi ludźmi, wyrzuconymi ze swej ojczyzny, którzy—prędzej lub później do niej powróciwszy—będą szczepili społeczeństwu swemu takie lub inne względem nas uczucia, zależnie od tego, czego wśród nas doznali w dobie swej tułaczki na obczyźnie. Ludność olbrzymiego terytorjum Z. S. S. R. jest systematycznie przez władze sowieckie przeciw nam podszczuwana, a nie zależy nam chyba, żeby uczucie nienawiści do Polaków stało się uczuciem powszechnem wśród wszystkich Rosjan, zarówno w samej Rosji, jak i poza jej granicami. Życzliwy stosunek do Rosjan, to najłatwiejszy, najdostępniejszy środek propagandy na rzecz Polski, a jeżeli wogóle uznajemy potrzebę propagandy wśród narodów świata, częstokroć od nas odległych terytorjalnie i luźno tylko związanych z nami politycznie, to o ileż donioślejszą z punktu widzenia naszych interesów jest takaż propaganda wśród przedstawicieli narodu, tworzącego za wschodnią ścianą naszej ojczyzny państwo o stu czterdziestu miljonach ludności, graniczące z nami na przestrzeni zgórą tysiąca kilometrów.

Oczywiście, zawsze pamiętać należy przedewszystkiem, aby swobody, udzielane Rosjanom na terytorjum Rzeczypospolitej, nie mogły w najmniejszym stopniu przyczynić się do osłabienia polskości kresów wschodnich. Ostatnie jednak wybory do ciał prawodawczych wykazały, że wpływy rosyjskie pośród mas ludności kresowej są dziś zupełnie nikłe i ograniczają się tylko do niektórych kół inteligencji miejskiej.

Nie usiłując bawić się w proroctwa, ani nie przesądzając kwestji, czy władza sowiecka w Rosji upadnie w drodze gwałtownego przewrotu, czy ulegnie stop-

pniowej ewolucji, jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości, że, po zrzuceniu pokostu kosmopolitycznego, Rosja stawać się będzie coraz bardziej prawosławną i rosyjską, a przy takich nastrojach pośród szerokich mas, stosunek do Polski normować się musi pod niemałoważnym wpływem odgłosów, dochodzących z naszego kraju z kół ludności rosyjskiej, wśród nas żyjącej. Trzeba stłumić w sobie uczucia nawet uzasadnionej niechęci, zapomnieć o smutnej przeszłości, lecz kierować się jedynie sprawiedliwością oraz ludzkością, która w danym wypadku zgodna jest też z wymogami naszej polityki. O jednem zapominać nam nie wolno: nie możemy przecież starać się o to, ażeby poza Niemcami posiadać jeszcze jednego potężnego wroga w Europie.

IGNACY OSTROMĘCKI

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

NA PRZEŁOMIE

DZIESIĘCIOLECIE Traktatu Wersalskiego będzie równocześnie momentem przełomowym w życiu Europy powojennej. Rok 1929 będzie rokiem zwycięstwa Partji Pracy w Anglji i rokiem rewizji planu Dawesa, co doprowadzi do opróżnienia Nadrenji.

Przyszły historyk określi te lat dziesięć jako okres odbudowy sił i znaczenia Niemiec, jako okres przygotowawczy do decydującego ataku na postanowienia terytorjalne Traktatu Wersalskiego.

Okupacja Nadrenji przez wojska sprzymierzone była pewną i realną gwarancją nietylko traktatów, podpisanych w r. 1919 w okolicach Paryża, lecz także pokoju europejskiego. Dopóki trwa ta okupacja nie mogą Niemcy ani przyłączyć Austrji do Rzeszy, ani też wystąpić realnie z projektem rewizji granicy polsko-niemieckiej. Z chwilą, gdy Ren przestanie być granicą wojskową między Niemcami a Francją, polityka niemiecka ma ręce rozwiązane. Zwycięscy z wielkiej wojny przygotowują się z niepojętą lekkomyślnością do postawienia kroku, który będzie miał nieobliczalne następstwa. Sądzą, że będzie to „likwidacja wojny", przygotowują zaś „likwidację zwycięstwa". Nie może być najmniejszej wątpliwości co do tego, że zarejestrowawszy dotychczasowe zdobycze, wystąpią Niemcy z nowemi żądaniami.

Zaś zwycięstwo wyborcze Partji Pracy i przyjście do władzy w Anglji rządu socjalistycznego będzie czynnikiem, znakomicie ułatwiającym politykę likwidacyjną p. Stresemanna. Brak większości bezwzględnej uniemożliwi Partji Pracy konkretne przeprowadzenie programu socjalistycznego w życiu wewnętrznem W. Brytanji, bo liberałowie, gdy będzie chodziło o sprawy gospodarcze i społeczne, staną obok konserwatystów, na terenie międzynarodowym natomiast będzie miał p. Mac Donald p. Lloyda George'a po swojej stronie. Nic tedy nie stanie na przeszkodzie wykonywania radykalnego programu w tej dziedzinie.

Sfery radykalne i socjalistyczne angielskie wyznają program „pacyfikacji Europy" i „likwidacji następstw wojny", którego najgorliwszym zwolennikiem na kontynencie jest p. Stresemann. Wobec polityki niemieckiej otwierają się nowe zgoła perspektywy

W ciągu ubiegłego dziesięciolecia uzyskali Niemcy zniesienie kontroli nad swemi zbrojeniami, weszli do Ligi Narodów, niebawem uzyskają redukcję nałożonej na nich kontrybucji wojennej i ustalenie jej wysokości, oraz opróżnienie Nadrenji.

W r. 1930 wystąpią z dalszemi żądaniami, a szereg ich jeszcze jest długi: przyłączenie Austrji, odzyskanie kolonij, rewizja granicy polsko-niemieckiej, Alzacja i Lotaryngja, Tyrol południowy...

Polska była zupełnie bezczynna wobec zapowiadanej a następnie przygotowywanej ewakuacji Nadrenji. Patrzyliśmy spokojnie na to, jak wypuszczano stopniowo z rąk prawdziwą i pewną gwarancję pokoju w Europie i bezpieczeństwo naszych granic. Pierwsza linja okopów będzie oddana bez sprzeciwu i usiłowań obrony z naszej strony. Obecnie zbliża się chwila ataku na pozycje bezpośrednio przez nas zajęte!

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

SPADEK WASYLA WYSZYWANEGO

NASZE oficjalne wydawnictwa statystyczne i opracowania na nich oparte odziedziczyły po statystyce austrjackiej rubrykę narodowości i języka „rusińskiego", mającego obejmować całą ludność greckokatolicką Małopolski od Sanu na wschód, oraz tą jej część, która wąskim klinem wbija się dolinami karpackiemi daleko na zachód, bo aż po Krościenko i Szczawnicę, w powiecie nowotarskim; rubrykę tę rozciągnęliśmy na północ, na Wołyń i części Polesia, wprost automatycznie zagarniając do tej „krateczki" statystycznej jeszcze parę miljonów obywateli państwa, nie badając zupełnie, czy rubryki i nazwy odziedziczone po zaborach, zwłaszcza w okolicach południowo-wschodnich, odpowiadają rzeczywistemu stanowi rzeczy i realnym, życiowym faktom. A statystyka, to groźna i niebezpieczna broń w walkach narodowościowo-politycznych, bo ona jest podstawą żądań z jednej strony, z drugiej zaś sprawdzianem i probierzem ich słuszności.

Ponieważ oficjalny termin „rusiński" tłumaczony jest w języku politycznym na „ukraiński", wynikałoby ze statystyki naszej, że „Ukraina" pana Petruszewicza, o granicach, zatwierdzonych... w Berlinie, sięga od stepów nadkaspijskich aż po sam prawie... Kraków, bo „ukraińska" wieś Szlachtowa leży na południku, oddalonym o 3 godz. pieszego spaceru od południka krakowskiego. W ten zresztą sposób sporządzano mapy „Ukrainy" jeszcze przed wojną.

Na tych podstawach robione wykresy, mapy, oraz same zresztą polskie, oficjalne wydawnictwa, służą propagandzie zewnętrznej i wewnętrznej, z których jedna i druga ma na celu osłabienie nas i naszej pozycji międzynarodowej.

Na tych też podstawach zbudowano w Polsce i w świecie—budować zaczęto z pomocą Niemców jeszcze przed wojną—legendę o wielkim, jednolitym narodzie „ukraińskim" (po polsku: rusińskim); myśmy tę legendę bezkrytycznie przyjęli i—niestety—dajemy się nią powodować w najżywotniejszych dla nas sprawach, żywotnych także dla różnych grup narodowościowych naszych obywateli grecko-katolickich unitów, przedewszystkiem w Małopolsce.

Tak, jak dzisiaj te sprawy stoją, termin „ukraiński" nie jest ani geograficznie, ani historycznie, ani tradycyjnie nawet usprawiedliwiony. Życiowo biorąc termin to dzisiaj czysto polityczny, choć ma bezwzględną u pewnych grup tendencję utrwalenia się. Stanowczo jeszcze dzisiaj—i zaczyna się to mnożyć—są wypadki, że z dwu rodzonych braci jeden jest „Ukraińcem", ponieważ należy do jednej z politycznych partyj ukraińskich, drugi zaś jest Rusinem, ponieważ przekonania zbliżyły go do partji staroruskiej, t. zw. przed wojną „moskolofilów". Wiadomo, że dzisiaj partje staroruskie są słabe, niewiadomo jednak, co się stanie jutro.

Obok tych grup, o uświadomieniu narodowem i politycznem często wysokiem, uważających się nawzajem za zdrajców i zaprzańców narodowych, jest kilka grup stojących na uboczu i wchodzących jedynie w ogólną liczbę ludności „rusińskiej“ w statystyce państwowej.

Taką grupą jest około 100 tysięczna grupa t. zw. „Łemków“, mieszkających właśnie na wspomnianym klinie, wbitym między masę polską na północnych, a słowacką na południowych stokach Karpat. Od Rusinów wschodnio-małopolskich, ukraińskich i starorusińskich różni ich prawie wszystko. Przedewszystkiem wcale wybitnie jednolity typ antropologiczny, odcinający się jaskrawo już na pierwszy rzut oka od „Rusinów“; jest to pozostałość po jakimś narodzie, który w kataklizmie dziejowym wyparty został na wschodzie z dolin w pustacie górskie i pędzony następnie przez drugą falę także nieruskich, niesłowiańskich Bojków, a wreszcie trzecią, najtęższą, Kumanów już historycznych, dzisiejszych Huculów, dotarł aż tak daleko na zachód.

Gdzieś po drodze „Łemkowie“ przyjęli chrzecijaństwo greckiego obrządku i stąd cała ich łączność z Rusinami: rzeczywiście duży zasób uzyskanych przez wpływ, zwłaszcza księży, słów ruskich w mowie, cyrylica wreszcie w redakcji swej starszej, rosyjskiej, bo nowe, „ukraińskie“ zasady ortografji Tow. im. Szewczenki nigdy się tu nie przyjęły.

Nazwa „Łemków“ pochodzi ze słowackiej z pochodzenia nawyczki powtarzania w rozmowie ustawicznego „łem“ (= tylko), a język jest właściwie mieszaniną rusińsko-słowacko-polską, na którą rusiński poza słownikiem nie wywarł nawet wpływu swego co do akcentu, tak że Łemkowie akcentują akcentem stałym, na 2-ej zgłosce od końca, jak my, w przeciwieństwie do Rusinów, których akcent jest ruchomy. Ruszczyzna działała na Łemków przez Kościół, administracja austrjacka wpisywała ich jako greko-katolików do rubryki: „*Ruthenen*“, „Ukraińcy“ zaś wciągnęli ich do swego nowo-odkrytego narodu.

Stosunek Łemków do agitacji ukraińskiej był i jest stanowczo wrogi. Przeciwnicy Unji, ponad Lwów Szeptyckiego i Kijów Dnistrjańskiego, czy Hlibowickiego patrzą w dalekie majaki dawnego Kremlina i dawnej cerkwi, bo tam ich od lat kierowały dynastje prawdziwe i odwieczne popów karpackich, uważających się przeważnie za Łemków rodowitych, takich rodów jak: Salomonów, Marenów, Beskidów, Czerlunczakiewiczów, Ochniczów i innych, nie chcących mieć z „ukrainizmem“ nic wspólnego. Formalnie tkwili w Unji.

Austrja tolerowała dłuższy czas tę dwutorowość narodowościową rusińskiego narodu, dopiero groza wojny z Rosją i plany ukraińskie Ferdynanda Habsburga skłoniły ją do podania ręki „Ukraińcom“. Przyszła wojna—znikł w krwawych oparach rewolucji bolszewickiej majak Kremlina i prawosławja moskiewskiego. Łemkom zabrakło busoli, zwłaszcza, że nowe prądy w konsystorzu przemyskim narzuciły im gromadę młodych rozagitowanych na przemyskiej teologji unickiej księży-ukraińców. A Polska?

Ta włączyła ich w rubrykę języka „rusińskiego“, wprowadziła elementarz ukraiński i zaczęła ich w szkole uczyć języka Petruszewiczów, którego ich dzieci zupełnie nie rozumieją, i zaczęła ich uczyć o Ukrainie, o kijowskiej Ławrze, o Włodzimierzach i Jarosławach, o Kwitce-Osnowianence, Szewczence i O. Kobylańskiej, którzy dla nich są tak samo bliscy, jak Mickiewicz, czy Konopnicka...

Do szkół „ukraińskich“ (oficjalnie: rusińskich) na Łemkowszczyźnie, w powiatach: sądeckim, grzybowskim, gorlickim, jasielskim, krośnieńskim i sanockim (po wyłączeniu kilku wsi, zamieszkałych przez Rusinów nie-Łemków, jak Berko, Sieniawa, Puławy, Raczkowa, Trepcza, Wróblik—zruszczała szlachta chodaczkowa — i in.) uczęszcza obecnie przeszło 10 tysięcy dzieci do 108 szkół.

Dzieci te, twierdzimy to z całą znajomością stosunków, nie rozumieją swych nauczycieli—(ukraińców); nie rozumieją elementarza i czytanki „rusińskiej“ („ukraińskiej“). Nauczyciel zwolna sam musi się nauczyć ich języka łemkijskiego i wtedy dopiero jaki taki cel osiąga. I nie jest to stosunek gwary do języka literackiego, lecz stosunek nieliterackiego jeszcze języka do drugiego, już literackiego, mających niektóre wspólne cechy, nabyte przez ten pierwszy wskutek zbiegu historyczno-geograficznych warunków.

To samo możnaby powiedzieć — z pewnemi zmianami — o dalszych grupach etnicznych, zruszczonych przez cerkiew, Bojkach i największej z nich—Huculach, którzy są szczątkami Kumanów, ochrzczonych dopiero w czasach Jagiełły, znowu—niestety—według obrządku greckiego.

Polska administracja, polska publicystyka, a co za tem idzie polska opinja mało się temi sprawami interesuje i — mówmy szczerze — właściwymi informatorami naszymi w tym kierunku są politycy ukraińscy w rodzaju historyków Hruszewskich i geografów Szczuratów. Niestety, od nich informuje się także zagranica.

Jakżeż więc wobec odchylenia jednego rąbka tajemnicy „narodu ukraińskiego“ wygląda wniosek P.P.S. o szkolnictwie dla mniejszości narodowych w Polsce? Czy zgodzą się dr. Próchnik i tow. na oddanie na pożarcie nacjonalizmowi ukraińskiemu 10 tysięcy obecnych uczniów szkół państwowych na Łemkowszczyźnie? Czy może poznają naprzód stosunki rzeczywiste i upomną się o łemkijski elementarz i łemkijską czytankę dla dzieci tego dobrego, łagodnego, lecz ciemnego i biednego ludu górskiego...

Bo zaliczyć ich do „Ukrainy“, według metod panów Szczuratów i administracji austrjackiej, byłoby najłatwiej. Przzgotowaćby w ten sposób można spadek dla... Wasyla Wyszywanego.

.......l

NAUKA I LITERATURA

WYZNANIA

„BIBLJOTEKA Narodowa“ wzbogaciła ostatnio swój zbiór wydaniem arcydzieła literatury powszechnej, jakiem są bezsprzecznie „Wyznania“ św. Augustyna[1]). W obszernym wstępie prof. Jerzy Kowalski kreśli na tle epoki potężną postać św. Augustyna, tego — zdaniem uczonych — pierwszego człowieka nowożytnego, następnie omawia walory religijne, filozoficzne i literackie dzieła. „Wyznania“ zajmują trwałą pozycję w piśmiennictwie świata i każą zaliczyć ich autorą do najoryginalniejszych i najciekawszych pisarzy katolickich. Jest to spowiedź przed Bogiem i ludźmi potężnego genjusza pióra, uczucia i myślenia, są to dzieje przemiany wewnętrznej, nawrócenia i wzrostu duchowego. Poza spojrzeniem wstecz na lata ubiegłego życia, znajdziemy tu także wejrzenie wgłąb: pierwszy śmiały dokument introspekcji tej niepospolitej duszy ludzkiej. Nic też dziwnego, że wpływ św. Augustyna na umysłowość potomnych był ogromny.

[1]) Św. Augustyn: „Wyznania“. Przełożyła dr. Krystyna Wisłocka-Remerowa. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył prof. dr. Jerzy Kowalski. Kraków 1929. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej, str. XC+305. („Bibljoteka Narodowa“, S. II Nr. 45).

Rousseau wprawdzie mniema, że jego „Wyznania“ nie posiadają żadnego wzoru, lecz wypada stwierdzić, że już sam tytuł zapożyczył od wielkiego biskupa Hipponu. Potrzeba rozwikłania zagadki swego serca i swoich dziejów oraz przekazywania doświadczenia wewnętrznego drugim, czyli innemi słowy potrzeba pisania autobiografji zjawia się zwykle w późnym wieku na szczytach kultury i rozwoju samowiedzy jednostki. Warunkiem koniecznym jest poczucie narastania indywidualnej treści duchowej. Wielu wybitnych ludzi kusiło się o zgłębienie swego życia wewnętrznego, pozostawiając cenny materjał do poznania ich indywidualności. Autobiografje przecież pisali: Petrarca, Gibbon, Herder, Goethe, Tołstoj. Pod względem szczerości i subtelnej bezpośredniości uczucia św. Augustyna nikt nie przewyższał. To samo trzeba powiedzieć o głębi myśli. Książka taka jak „Wyznania“ nie może być według utartego szablonu „recenzowana“: ona musi być przeczytana. Zachęca do tego zresztą wytworna forma polskiego przekładu.

J. B. R.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Jest rzeczą znamienną, że w ciągu lat ostatnich nagrodę Nobla dostały dwie kobiety, jedna córa jasnego południa — Gracja Deledda, druga — córa północy, Sygryda Undset. Talenty to zgoła różne temperamentem, zakresem swych tworów a nawet i skalą. Obok pisarki o locie naprawdę wielkim, Sygrydy Undset, poetka Sardynji Gracja Deledda wydaje się ptakiem niepozornym. Ma rację Wasylewski, pisząc w przedmowie do wydanych świeżo „Tęsknot“ Deleddy (Bibl. Laureatów Nobla), że pisarka ta nie góruje talentem nad naszą Rodziewiczówną, do której zbliża się „chętnem zacieśnianiem się do kręgu swej ojcowizny“ oraz moralną tendencją swych powieści, zwłaszcza tych, gdzie autorka wyzbyła się regjonalnego tła sardyńskiego. Właśnie „Tęsknoty“ zupełnie nam przypominają Rodziewiczównę, głównie przez wprowadzony kontrast zaścianka ze stolicą oraz obrazowanie (tak częstego u Rodziewiczównej) problematu niezżytego jeszcze z sobą małżeństwa. Polakowi miło będzie na 41 stronicy spotkać zapytanie: „Czy czytałeś „*Quo Vadis*“? Jak to, nie znasz jeszcze najpiękniejszej powieści nowoczesnej?“ Dowód to jak popularny jest Sienkiewicz we Włoszech — gdzie, warto wspomnieć, „*Quo Vadis*“ miało dotychczas dziesięć razy więcej wydań, niż w Polsce... Ale autorka zna widocznie i „Rodzinę Połanieckich“, skoro parę motywów tej powieści znalazło tu swe odbicie — nawet taki szczegół, że Regina podobnie jak Marynia jest krótkowzroczna. Przekład Staffa jest bardzo piękny, szkoda tylko że tłumacz nie spolszczył kilku wyrazów i nazwisk włoskich (np. *Francesca Romana* — co jest nazwiskiem świętej rodem z Rzymu).

Powiedzieć tego nie można o przekładzie arcydzieła Sygrydy Undset, jakiem jest „Krystyna córka Lawransa“ (wydał „Rój“). Przekład ten, dokonany przez jakąś Wandę Kragen, pewnie żydówkę, jest zbrodnią wołającą o pomstę do nieba. Tłumaczka niedość że wprowadza ohydne germanizmy (widać, że książkę pisarki norweskiej tłumaczyła z niemieckiego), niedość że tworzy śmieszne neologizmy, mające niby to być archaizmami, ale nawet częstokroć nie rozumie tego, co tłumaczy. To też spotyka się takie cudactwa i dziwolągi jak „wieczorna msza“ (oczywiście: nieszpory — po niem. *Vespermesse*) i inne, jeszcze gorsze. W ten sposób to prześliczne epos średniowiecza, owiane czarem prawdziwego katolicyzmu (autorka jest konwertytką-katoliczką od r. 1925) zostało splugawione i skoszlawione wprost do niemożliwości. Wielka zaiste szkoda!

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Inwalida wielkiej wojny, ociemniały deputowany francuski, Georges Scapini, wydał niezwykłą książkę p. t. „*L'apprentissage de la nuit*“ (Paris, Flammarion), w której przedstawia tragedję swojej ślepoty, codzienną walkę z ciemnością, kończącą się hymnem zwycięstwa. Autor książki tej wzniosłością ducha swego oraz siłą woli przypomina innego wielkiego inwalidę wojennego, deputowanego włoskiego, Carlo Delcroix.

*

Księgarnia Plon'a wydała świeżo książkę członka Akademji Francuskiej, znanego powieściopisarza Henryka Bordeaux, poświęconą „jasnej Italji“ („*La Claire Italie*“), w której mowa o Królu, Papieżu, Mussolinim, d'Annunzio i t.p., wogóle o dawnej i dzisiejszej Italji.

*

Ostatnia powieść braci Jérome i Jean Tharaud („*La Chronique des frères Ennemis*“. Plon) rozwija się na tle faktów i zdarzeń życia Genewy, których rezultatem była rewolucja religijna, wywołana przez Kalwina.

*

U wydawcy Fayard ukaże się niebawem bardzo barwnie i uszczypliwie napisana książka p. René Benjamin p. t. „*Les augures de Genève*“.

*

Nieznane listy G. de Maupassant'a do G. Flaubert'a (od 1876 r. — 1880) ogłosił P. Borce. (Editions des Portiques).

*

P. Anatole de Monzie, jeden ze senatorów departamentu Lot publikuje w wydawnictwach „*Nouvelle Revue Française*“ „*Contes de Saint-Cère*“. Odtwarza on w pięciu nowelach szereg wypadków z życia swej prowincji do której osobiście jest bardzo przywiązany. Opowieści też jego posiadają silny koloryt lokalny, chwilami nawet pewna oschłość. Jedna z nich zwłaszcza, zatytułowana „*La femme du déserteur*“ stanowi dramatyczną historję życia młodej kobiety, która ukrywa swego męża dezertera, a wskutek tego w chwili ogólnej radości po zawieszeniu broni nietylko jej nie zazna, ale w dodatku stanie się pośmiewiskiem sąsiadów, aż do chwili, kiedy cierpienie niesprawiedliwych posądzeń doprowadzi ją do ostateczności, Albina zadenuncjuje swojego męża.

*

Zmarły niedawno poeta czeski Otokar Brzezina należy do tych nielicznych poetów w Czechach, którzy jeszcze za życia doczekali się ośmnastu książek o swem dziele literackiem. W dwa miesiące po zgonie autora pojawiło się w Czechosłowacji znów pięć nowych monografij książkowych, życiorysów i wspomnień krytycznych.

*

Nestorka literatek czeskich L. Grossmanowa Brodska kończy w tych dniach 70-y rok życia i jednocześnie obchodzi 50-lecia swej działalności pisarskiej. Jest pilną i sumienną powieściopisarką ludowego kierunku i szczęśliwą poetką dla dzieci. Z pod pióra jej wyszło dotąd 57 książek. Jest więc z pisarek czeskich najpłodniejszą.

TEATR

ŁADNA HISTORJA

DOSKONAŁY pomysł miała Dyrekcja Teatru Polskiego, wznawiając z okazji jubileuszu Zofji Czaplińskiej „Ładną historję“ Caillaveta, Flersa i Reya.

Przypomniało to Warszawie, że znakomita owa aktorka jest nietylko „Fertnerem w spódnicy“, nietylko nieocenioną „Ciapcią“, która do rozpuku rozśmiesza galerję w rolach farsowych, ale również wspaniałą odtwórczynią ról komedjowych, umiejącą po mistrzowsku grać na uczuciowych strunach widzów. Rola pani de Trevillac należy do najlepszych jej kreacyj. Patrząc na tę czcigodną i godną najserdeczniejszej miłości babunię, niepodobna oprzeć się wzruszeniu, niepodobna nie pomyśleć o własnej babce i podziw nas zdejmuje, że ową rolę, przesyconą najsubtelniejszym sentymentem potrafi tak wzruszająco odtwarzać osoba, którą przywykliśmy oklaskiwać za również mistrzowskie odtwarzanie starych Żydówek i komicznych bab z monstrualnemi biodrami.

Cechą prawdziwie wielkich talentów bywa wielostronność. Talent Zofji Czaplińskiej przymiot ten posiada w wysokim stopniu. Talent ów pomimo pięćdziesięcioletniego jubileuszu—tryska młodością. Według wiadomości zakulisowych jubilatka rozpoczęła karjerę sceniczną w piątym roku życia.

Przedstawienie „Ładnej historji“ jest szeregiem nieustannych owacyj na cześć jubilatki. Po każdej ze scen, w których Czaplińska się ukazuje, wstrząsają teatrem huragany oklasków. Część tych oklasków dzielą między siebie pp. Malicka, Leszczyński i Maszyński, którzy grają również koncertowo.

ZAST.

Ku upamiętnieniu dziesiątej rocznicy odzyskania Niepodległości — dźwignięte zostało w Poznaniu wielkie dzieło ogólnonarodowe — pierwsza w dziejach Polski—POWSZECHNA WYSTAWA KRAJOWA, której w całości poświęcamy nasz dzisiejszy bezpłatny dodatek ilustrowany.

OFENSYWA

RŻY RZYMOWSKI NA RZYM

O CAŁYM szeregu publicystów i działaczy, literatów i dygnitarzy z obozu dyktatury możnaby już oddawna powiedzieć to, co Marja Teresa mówiła o dyplomatach, przygotowujących pierwszy rozbiór Polski:

„On voulait agir à la prussienne, voulant en même temps rétenir les apparents d'honnêteté!“ I równocześnie chcieliby dawać sobie radę po prusacku i nadal zachować pozory ludzi szanowanych...

Równocześnie chcą zachować cały urok dawnego typu warszawskiego radykała czy rewolucjonera, „dr. Judyma" czy „Baryki", niby wogóle przyjaciela ludu, orędownika wolności, równości, braterstwa i równocześnie, raz po raz, niby stroją się w czarne koszule faszystowskie, a naprawdę bredzą i piszą wcale po prusku, po prusacku.

Zabawny jest szczególnie ten pan Wincenty Rzymowski. Posadę ma piękną i pensję takoż. Winien tedy w „Kurjerze Czerwonym“ wysługiwać się teraz wszelkiej dyktaturze, gdyż za to go sowicie płacą. Więc jak może tak na parlamentaryzm polski i demokrację każdego kalibru ciska się i urąga. Bezimiennie. Bezimiennie, nie podpisany broni absolutyzmu i soldateski. Ale, że chce się zaasekurować, zarezerwować „firmę"—gdyż uroił sobie, że istnieje na rynku firma „W. Rzymowski“, z tej przyczyny od czasu do czasu puszcza takie jakieś pseudoliterackie, napuszyste, bengalskie ognie sztuczne, w których blasku znowu niby prezentuje się jako lada chwila z powrotem r a d y k a ł rewolucjoner, trybun tłumów, opiekun maluczkich. Zarabiając w lokalu obsługugującym dyktaturę, nie śmie wprawdzie urągnąć na patrona chlebodawców, ale od czasu do czasu warknie na... Mussoliniego...! Ale też nie od siebie wprost, ale... cytatką. Ni stąd ni zowąd do recenzji z gościnnych występów rosyjskiego Teatru doczepia p. Rzymowski taką sobie napaść starego H. G. Wellsa:

— Dość jest przypatrzeć się kilku z pośród niezliczonych fotografij Mussoliniego, jakie zalegają witryny sklepów włoskich, aby spostrzec, że nie jest to oryginał, lecz kopja; nie działacz, lecz aktor, ta twarz okrągła, ta słabizna groźnie marszcząca brwi, jest, istotnie, pospolitą twarzą wytrawnego aktora. Z tła „bohaterskich" draperyj, z pod hełma i pióropusza, mogącego zaszczyt przynieść każdej rekwizytorni, spoglądają na nas oczy, pozbawione myśli i inteligencji, ale wyzywające, jakby mówiły: „Taki jestem: któż mi się oprze?“

Pan Wincenty Rzymowski do uwag Wellsa doczepia swoje docinki i dowcipki. I to drukuje „Kurjer Czerwony“ z 24 maja.

Czy jest sens atoli, żeby jeden z wielbicieli p. J. Piłsudskiego zamieszczał takie napaści na Mussoliniego właśnie wtedy, kiedy poselstwo Italji zostało awansowane na ambasadę i kiedy do Warszawy ma przyjechać „prawa ręka“ *Il Duce* wicesekretarz Grandi?

„PRY-WATA“

Powrócił już do ojczyzny ciężko a owocnie napracowawszy się za oceanem prof. R. Dyboski. W samym tylko uniwersytecie w Chicago miał szereg prelekcyj o literaturze polskiej, nie licząc już setki odczytów w innych miastach. Prelekcje chicagoskie o literaturze w Polsce powojennej zamieścił w piśmie „*The Saturday Review of Literature*". Pisma tego nie mamy pod ręką, ale jest kilka referatów z pracy pt.: „*Literature in Post-War Poland*". Okazuje się z nich, że wkradły się tam pewne omyłki, niedokładności i przewartościowanie wartości. Prof. Dyboski na dzisiejsze piśmiennictwo zapatruje się zanadto pod kątem widzenia „Czasu“ ale nie czasu tj. z dalszej perspektywy, tylko przez okulary „Czasu“ tj. pp. Sinki, Czosnowskiego i „*Tafelrundy*“ z Grand-Hotelu krakowskiego. W dziale dramatycznej twórczości np. poza Rostworowskim i Zegadłowiczem nie dostrzega prof. Dybowski ani Miłaszewskiego, ani Szaniawskiego, ani żadnego z komedjopisarzy jak np. Siedleckiego, Perzyńskiego, Fijałkowskiego, a natomiast... Morstina; cały dział ten wogóle zbyty. Zygmunta Kisielewskiego, debiutującego od 10 lat amatora identyfikuje znakomity uczony z dawno zmarłym Janem Augustem Kisielewskim. W dziale liryki również moc błędów i uogólnień. W prozie krótkie wzmianeczki o tak wybitnych np. autorach jak Wasylewski, Goetel, Berent. Pisarze obozu narodowego wogóle są pod interdyktem prof. Dyboskiego; nie istnieją dlań Miłaszewska, Ligocki, Szpotański, Bartkiewicz, niema ani Weyssenhoffa ani Rodziewiczówny ani Wasilewskiego, a skoro prof. Dyboski wlicza już w piśmiennictwo E. Szelburg i Kuncewiczową, to czemuż np. nie widzi Wierzbińskiego, Smolarskiego, Gałuszki, albo też Jerzego Bandrowskiego, autora kilku tęgich powieści?

Moc miejsca natomiast poświęcił prof. Dyboski drugiemu Kadenowi Bandrowskiemu...

Zabawny znowu wywiad dał tenże pan Kaden Bandrowski, wracający z Mickiewiczowskich uroczystości w Paryżu, brukselskiemu dziennikowi: „*Soir*". Rozpowiadając o literaturze polskiej powojennej dla podkadzenia coś tam nablagował o wpływie na dzisiejszą literaturę polską pisarzy belgijskich Verhaerena i Lemonniera (*sic*). Nauczycielami dzisiejszych młodych byli ze starszego pokolenia Sienkiewicz i Reymont; Kasprowicza i Żeromskiego p. Kaden nieco przepomniał. Z współczesnych prozaików polskich wedle doboru p. Kadena „najsilniejszą indywidualność okazują Zofja Nałkowska, Ferdynand Goetel i Piotr Choynowski“. Biedaczyna ten drapiący się po drabinie karjery autor „Generała Barszcza“... Tak sobie mianując „indywidualności“, kołysze się nadziejami, że innych konkurentów już poutrącał. Nie widzi Weyssenhoffa, jak go nie dostrzegł i prof. Dyboski. Nie słyszał jeszcze o Kossak-Szczuckiej, którą znowu chwali prof. Dyboski, jako że swą „Złotą Wolność“ drukowała w „Czasie“...

Zabawne jest to partyjnictwo i ta koteryjność na *export*. Można jeszcze zrozumieć, że pp. Dyboski lub Kaden w kraju powodując się partyjnymi względami, tego wynoszą pod niebiosa tamtego... za drzwi literatury, że niewygodnych przemilczają a wygodnych okadzają. Ale żeby przed audytorjum obcem tak się powodować i kierować partyjnemi i prywatnemi kryterjami, to nieładnie i niesumiennie.

Charakterystyczne zaś jest, jak ta literacka koterja czy służba ideowa p. J. Piłsudskiego stale i systematycznie przemilcza tę biedną „Wielopolską“ t.j. właściwie Walewską-Janowską, piszącą pod pseud. Jehanny Wielopolskiej. Bądź co bądź babina talent nowelistyczny miała i to wcale tęgi; mogła go z czasem rozwinąć pięknie, tymczasem dała się wciągnąć w prasę, gdzie grasowała przez dwa sezony, wrzeszcząc jak opętana przez Bafometa. Wreszcie ją ni stąd ni zowąd odprawili jak kucharkę, co przesala, przepieprza, trzyma się brudno i kłóci ze wszystkiemi kuchtami w kamienicy. „Murzynka spełniła swoje, murzynka może odejść“! I zmarnowali biednej babinie resztki kapitału w niecałe trzy lata! Wyssali jak cytrynę i... precz. Kobiecina się wyfurjowała, wypassjonowała, ale też i wyjałowiła i zdyskredytowała doszczętnie. Gdy się zapytać któregoś z tamtych panów: „a coście to zrobili z Wielopolskiej ?". „A niech idzie na złamanie karku do Lunaparku... lub do Zoologu na Pragę“...

Głupi ten komplement opierają prawdopodobnie na tem, że ongiś w ferworze polemicznym K. Irzykowski nazwał naszą panią Severinę „hjeną centkowaną"... a w „Zoologu" na Pradze centkowanej hjeny na razie istotnie brak.

No, ale tak nie można! Nie wypada. Nie uchodzi. W każdym razie przykre to bardzo, że prof. Dyboski wymieniając w „*Literature im Post-War-Poland*" nawet panie Dąbrowską i Kuncewiczową, o naszej biednej markizie ani wspomniał, jeszcze przykrzejsze, że i p. Kaden w „*Soir*" nie wliczył jej między „indywidualności“.

Przecież jest już całkiem nieszkodliwa, poza konkurencją, poza *minimum*. Więc mógł.

Ot zawzięli się na tę Jehałkę czy Jehannę! Bidna kobicina!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dokumenty bez cudzysłowu:

Wyciąg z dziennika posiedzenia gospodarczego Wydziału VIII karnego Sądu Okręgowego w Warszawie, odbytego w dniu 25 maja 1929 r. VIII 4 ZK 557/29:

Upatrując w treści artykułu „Krasomówstwo eksportowe", zamieszczonego w zajętem dn. 22.V.1929 r. przez Komisarjat Rządu na m. st. Warszawę Nr. 145 czasopisma „Gazeta Warszawska“ z dn. 22.V.1929 r., cechy przestępstwa z art. 532 KK. wobec zniewagi osoby p. Marszałka J. Piłsudskiego, p r z e z u ż y c i e w c u d z y s ł o w i e w stosunku do niego określenia „bohatera niepospolitej miary“, podane w formie drwiącej, pogardliwej, zajęcie tego numeru czasopisma „Gazeta Warszawska" zatwierdzić, rozpowszechnienia go zabronić i korespondencję zwrócić Prokuratorowi Sądu do dalszych zarządzeń.

Na oryginale właściwe podpisy.

Zgodnie z oryginałem

Za sekretarza (podpis nieczytelny).

(„Gaz. Warsz.“)

*

Zeznanie, złożone sędziemu Sądu Najwyższego, p. Zaleskiemu, do protokółu, w czasie przyjęcia w G. I. S. Z. w dniu 27 b. m., brzmiało następująco:

„Ja, Józef Piłsudski Pierwszy Marszałek Polski, jako świadek zeznawać nie będę, uważam bowiem, że występować w tym wypadku muszę jako szef gabinetu, z jego prawami w stosunku do sądu, do oskarżycieli i do oskarżonego.

J ó z e f P i ł s u d s k i“.

(„Polska Zbrojna“)

*

W czasie uroczystości odsłonięcia pomnika Chrobrego w Gnieźnie, marszałek Senatu p. Szymański wygłosił następującą mowę:

„W chwili odsłonięcia pomnika wielkiego króla, Bolesława Chrobrego, myśli uczestników biegną ku spadkobiercy jego wielkich myśli i poczynań, ku obecnemu wodzowi narodu—niech żyje Józef Piłsudski“.

(„Gaz. Warsz.“)

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15, PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM